

PRACA

Przedpłata w Poznaniu
już z odnośzeniem
tylko 1 markę na kwartał.

Tygodnik dla wszystkich stanów

Przedpłata
na pocztach tylko 1 markę
kwartalnie.

poświęcony sprawom handlu, przemysłu i rolnictwa.

„Praca“ zapisana jest na pocztę w oddziale II, t. 86.

Nadesłane
50 fen. od wiersza.

Redakcja i Administracja przy ul. Rycerskiej Nr. 38. Telefon Nr. 295.
Pojedynczy numer „Pracy“ nabyć można za 15 fen z franko przesyłką 20 fen.

Ogłoszenia zwykłe
20 fen. od wiersza.

Uczmy dzieci po polsku!

Módl się za nami!

(Na uroczystość Wniebowzięcia NPMaryi.)

Módl się za nami! o Matko Boga,
Królowo naszej polskiej krainy...
Gdy nas wciąż gnębi wrogów dłoń sroga
I w błędne drogi wiedzie Twe syny...

Gdy coraz więcej wśród nas kłakolu
I obojętność serca nam truje...
Módl się za nami, wołamy w bólu,
Modlitwa Twoja niech nas ratuje!

Módl się za nami! Patrz, my w niewoli
I już wiek drugi łyż nam wciąż płyną,
A życie takie jak rana boli
I w walce takiej ofiary giną.

Więc trzeba cnoty, męstwa i wiary,
Ażebym dzwignąć naród zdeptany...
Módl się za nami!... Bóg zmieni kary,
Gdy z serc ustąpią czarne szatany.

Módl się za nami!... Bo nam potrzeba
Urość w olbrzymów ducha — nie ciała.
W poznaniu wiedzy — wierzyć w moc nieba
Mieć wolę silną jak twarda skała...

Bo jak na przyszłość świętej wieczności
Pracować trzeba z Bożą pomocą...
Tak dla zdobycia sobie wolności
Potrzeba walczyć z dusz naszych nocą...

Więc Matko Boga módl się za nami,
Niech światło wiary nas wiedzie wyżej...
A pokonamy wroga cnotami
I będziemy szczęścia — wolności bliżej.

Nasze wady i nasze zalety.

Jednym z zarzutów, które najczęściej spotkać można w ustach cudzoziemca, gdy mówi o Polakach i polskim narodzie, jest zarzut, że my nie jesteśmy zdolni do samodzielności politycznej, to jest, że brak nam politycznego wyrobienia i równowagi, niezbędnej w politycznym życiu. Drugim zarzutem jest tak często wytykany nam nie tylko przez obcych, ale i przez swoich brak przedsiębiorczości.

Pierwszy z tych zarzutów odmawia nam prawa do bytu w dziedzinie politycznej — drugi w dziedzinie ekonomicznej — bo brak politycznych zdolności unicestwia polityczną egzystencję narodu, brak przedsiębiorczości zaś odmawia prawa istnienia materialnego. Gdyby więc te zarzuty były słuszne — musielibyśmy zniknąć już dawno z powierzchni ziemi, pod naciskiem konkurencji, która ma równe prawa w dziedzinie międzynarodowej, w życiu narodów jak w życiu pojedynczych ludzi.

A jednak żyjemy i istniejemy ku utrapieniu tych naszych najserdeczniejszych, którzyby prawicę chętnie sobie dali uciąć, aby nas tylko nie widzieć w sąsiedztwie.

Zapytać się trzeba: czemu się to dzieje?

Są dwie możliwości: albo nie zasługujemy na tak ostrą krytykę, którą wobec nas stosują, albo też na jakimś innym elemencie opieramy naszą egzystencję.

Słusznymi są obie możliwości — poczęści. Poczęści nie zasługujemy na tak ostrą krytykę, poczęści byt nasz w rzeczy samej opiera się na pewnym fundamencie, który nie w tej mierze gra rolę w życiu innych narodów, co u nas.

Kto wątpi w nasze zdolności polityczne, opierając się na tyłu śladach wymownych naszej niezaradności i naszej, powiedzmy otwarcie, głupoty w politycznym życiu — ten jednak nie powinien spuszczać z oka tych niemniej wymownych dowodów naszych politycznych zdolności i nieugiętego hartu, jakich obficie dostarcza nasza historia.

Naród polski bowiem walczy o prym z Anglikami w sporze, kto pierwszy zaprowadził konstytucjonalizm a tem

samem wyprzedził inne narody i wskazał im drogę, po której dziś kroczą w swym rozwoju politycznym. Naród polski również i w ostatnich czasach, gdy cała Europa ugięła karku pod brutalną pięścią żelaznego księcia, — był jedynym przedstawicielem wolności obywatelskich, wyższości prawa ponad siłą — jednym słowem tej idealnej cząstki politycznego życia, ku której dziś coraz bardziej wzdychają ludy Europy.

Lecz przejdźmy do innej sfery. Zarzucają nam niezaradność ekonomiczną i brak przedsiębiorczości. Trafnym to jest z tem zastrzeżeniem, że przecież nie można przedsiębiorczości i wyrobienia żądać od społeczeństwa, które dopiero przed kilku dziesiątkami lat zaczęło na serio myśleć o pracy na polu przemysłu i handlu. Prawda, że np. setki lat posiadaliśmy ziemice szlaskie, a ani nam przez myśl nie przeszło tak eksploatować bogactwa naturalne w ziemi zawarte, jak to dziś czynią Niemcy, lecz i my zaczęliśmy coraz bardziej nad sobą pracować i nie cofamy się, lecz idziemy naprzód. A zresztą odróżniać trzeba przedsiębiorczość od spekulacji. Często za przykład godny naśladowania stawiają nam spekulantów, którzy się bogacą w mgnieniu oka, nie zważając na przedział, jaki dzieli spekulację od przedsiębiorczości.

Spekulacja i przedsiębiorczość — są to dwie rzeczy nader różne, choć w praktycznym życiu niezawsze je się rozróżnia. Przedsiębiorca opiera powodzenie swego interesu na niepodlegających zmianom warunkach produkcji — spekulant właśnie z tych zmian z dnia na dzień stara się wyciągnąć zyski. Przedsiębiorczość jest dążeniem do zysków zapomocą pracy i trafnego orientowania się, spekulacja

cya — jest dążeniem do zysków bez pracy. Dewizą przedsiębiorczości jest praca i zysk; dewizą spekulacji — wyzysk.

Przedsiębiorca, zakładając interes, zamierza wynieść z niego powolne, lecz długotrwałe korzyści, spekulant korzystając z nieświadomości lub głupoty ludzkiej musi zyski wyciągnąć, zanim się świat opamięta. Nic nie przedstawia większego i lepszego pola działalności dla spekulantów, jak giełda. Na giełdzie też spekulacja święci prawdziwe swe orgie, zwłaszcza w fachu organizowania towarzystw akcyjnych. Jest to rzecz najłatwiejsza bowiem — spekulować na łatwowieńności szerokich warstw społecznych, które chętnie rade brać udział w „wielkich“ przedsiębiorstwach akcyjnych, nie będąc przytem w możności krytycznie rozpoznać, czy przedsiębiorstwem rządzą dążenia rzetelne, czy spekulacja, obliczona na głupotę ludzką.

My powiedzieć możemy o sobie: my żyłki do spekulacji nie doprowadziliśmy do takiej perfekcji jak na zachodzie, sądzymy jednak, że spokojną a wytrwałą pracą niemniej ujdziemy spory kawał naprzód.

Niekoniecznie więc słuszność jest po stronie tych co wołają: naród polski niezdolny jest do życia ani w politycznej, ani w ekonomicznej dziedzinie.

Po za temi jednak danemi w obu tych dziedzinach posiadamy niezmierniej wartości czynnik, który utrwała

nasz byt narodowy — a czynnikiem tym jest ogniste przywiązanie do ojczyzny takiej, jak ją znamy z historii naszej — umęczoną, katowaną, znienawidzoną i poniewieraną przez świat cały. My tą miłością górujemy nad całym światem i to nam daje prawo dumnie spojrzeć każdemu w oczy mówiąc: Jestem Polakiem!

Przedruk bez podania źródła wzbroniony.

Uszlachtetnianie roślin gospodarskich.

Uszlachtetnianie roślin gospodarskich i produkcja doborowego nasienia do siewu na Zachodzie oddawna jest w użyciu. Uszlachtetnianie zbóż rozpoczęto w Anglii, gdzie Patrick Shireff wyprodukował sławną do dziś najlepszą pszenicę. W Niemczech ten dział produkcji rozwinął się dość znacznie i są tam gospodarstwa, poświęcone wyłącznie prawie produkcji nasion i uszlachtetnianiu zbóż, głównie pszenicy, owsa i jęczmienia. Nasz kraj dawniej nazywano spichrzem Europy, dla wyłącznego prawie gospodarstwa zbożowego i obfitych plonów pszenicy. Dziś czasy się zmieniły i dowóz zboża z ziem polskich na Zachód Europy jest tylko małą częścią dowozu ogólnego. Powinniśmy się więc starać wszelkimi siłami, jeżeli nie osiągnąć napowrót stracone stanowisko, to polepszyć stan obecny o tyle, abyśmy mogli produkować u siebie odmiany uszlachtetnione, w ziarno doborowe do siewu, któreby od nas kupował Zachód.

A przynajmniej zacząćby trzeba od tego, aby dla własnej potrzeby mieć ziarno doborowe własne, a nie sprowadzać go skądinąd.

Szwecya naprzykład dziś nietylko na

swą potrzebę produkuje doborowe nasiona zbóż i to różne, stosownie dla różnych jej klimatów, ale wywozi znaczne ilości zboża nasiennego po dobrych cenach do Danii, Niemiec i Francji. Już w roku 1890 na powszechnej wystawie rolniczej we Wiedniu zwracał uwagę zwiedzających pawilon szwedzki, nie tyle zewnątrz okazały, ile wewnątrz interesujący, a zapelniony wytworami i płodami rolniczymi tego północnego kraju. W dziale płodów rolniczych odznaczała się mianowicie wystawa zakładu dla hodowli zboża i nasion gospodarskich w Svalöf dużą ilością prawdziwie doborowych okazów zboża i różnych nasion.

Zakład w Svalöf jest dowodem wielkiej żywotności rolnictwa szwedzkiego, jest też zarazem ładnym przykładem solidarności, zrozumienia wspólności interesów rolniczych z interesami całego kraju, jest przykładem pracy zbawiennej i rzeczywistą korzyść przynoszącej. Głównym celem nowo zawiązanego Towarzystwa i zakładu w Svalöf było podniesienie produkcji zboża doborowego.

Do tego celu postanowiono dążyć przez: 1) jak najszersze rozpowszechnienie w kraju najlepszych odmian zboża i innych roślin gospodarskich i to naturalnie odmian dla każdej okolicy odpowiednich; 2) przez ulepszanie zapomocą systematycznej hodowli starszych, dobrych odmian krajowych, doskonałe już do gleby i klimatu przystosowanych; przez wytwarzanie odmian nowych pod pewnymi względami znakomitych, oraz aklimatyzacją i przyswajanie odmian zagranicznych wysokiej wartości; 3) wreszcie pośrednictwem w handlu wewnętrznym i ułatwienie eksportu doborowego ziarna siewnego za granicę.

Towarzystwo wynajmuje zwykle u jednego z właścicieli ziemskich potrzebny kawałek gruntu i na nim przeprowadza doświadczenia, zawsze pod kontrolą de-

Trzydziesta trzecia żałobna rocznica.

Zwycięzonymu za pomnik grobowy,
Zostaną suche drewna szubienicy:
Za całą sławę krótki płacz kobiety
I długie, nocne rodaków rozmowy.

A. Mickiewicz. „Do matki Polki“.

Lat temu 33 na stokach cytadeli Aleksandryjskiej w Warszawie ginęli w dniu 5go sierpnia 1865 na szubienicy: ostatni Naczelnik Rządu Narodowego, Romuald Traugutt, Rafał Krajewski, Józef Toczyski, Jan Jeziorański i Roman Żuliński.

Rząd rosyjski egzekucyą odbyć postanowił z wielką paradą, żeby lud wiedział, żeby się lud uczył — jak giną bohaterowie.

Tysiące wojska, moc generałów w mundurach błyszczących, galowych, strzegło szubienicy, nieprzeliczony tłum ludu warszawskiego zaległ obszerny plac forteczny.

Z bram cytadeli wysunął się orszak. Na pięciu wózkach wieziono pięciu męczenników naszych. Pierwszy jechał Traugutt, potem Krajewski, Toczyski, Żuliński, pochód zamykał Jeziorański. Odczytano im wyrok pod szubienicą. Związano ręce, ubrano w białe śmiertelne koszule. Jednego po drugim wprowadzono pod jego szubienicę, rzucono kaptur na oczy, poderwano schody i — w powietrzu zawisło pięć trupów.

Z piersi wielotysięcznego ludu ozwało

się głuche łkanie ojców, matek, sióstr, braci... żon i dzieci tam nie było. A potem urywany gwałtowny jęk rodaków, krzyk kobiet, płacz żołnierzy... Trzydzięści trzy lat minęło, a ten płacz wyrwa się zawsze z piersi zbolejał Polski, jak się wyrwa dziś temu, który te słowa pisze, wam, którzy je czytacie.

Oni zginęli na szubienicy za swe idee, które dziś żyją: oni zginęli na odkupienie tych z upodlenia politycznego, którzy pozostali przy życiu. A ginęli jak święci pańscy z modlitwą na ustach, błogosławieństwem obecnych i przebaczeniem dla swych katów... Kończył się wielki nasz dramat narodowy, zaczęty pięcioma ofiarami na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie w dniu 27go lutego 1862go, kiedy pierwsze kule moskiewskie, na rozkaz generała Zabłockiego padły pod domem *Malcza* na bezbronnym lud...

Rosya jest zabobonna. Rosya lubi kabalistykę. Wówczas śmierć pięciu ofiar rozpoczęła powstanie, teraz car północy żądał także 5ciu ofiar — Aleksander IIgi kazał pięciu powiesić. Berg i Tuchołka i gen. Rozwadowski, teraz 5 osób z licznej rzeszy wybrali i 5 szubienic postawili i 5ciu kazali stracić. — Najmylniej w świecie nazwano ich Rządem Narodowym, nie stanowili Rządu Narodowego powieszeni 5go sierpnia 1864go, bo już od 17go października 1863go Roman Traugutt był tajnym Dyktatorem. Rządu Narodowego

nie było, były tylko wydziały ministerstw i ich urzędnicy. Jeden Żuliński był na swem stanowisku szefa ekspedytury aż do chwili aresztowania. Rafał Krajewski, szef wydziału spraw wewnętrznych i Józef Toczyski, szef wydziału skarbu, stali chwilowo poza zakresem pracy powstańczej, nie byli już dyrektorami wydziału, gdy ich ujęto.

W dniu 27 lutego 1862 padli bezbronnym zabici Michał Arcichiewicz uczeń IV klasy gimnazjum realnego, Filip Adamkiewicz, robotnik krawiecki, Karol Brendel, czeladnik ślusarski, Marceł Karczewski, obywatel ziemski z Sieradzkiego i Zdzisław Rutkowski, obywatel ziemski z Radomskiego.

W dniu 5 sierpnia 1864 car kazał stracić także 5 ofiar.

Długo jeszcze potem stawiano szubienice i tracono niewinnych. Ze śmiercią jednak Romualda Traugutta można było powstanie uważać za wygasłe. Dramat skończony.

Zasłona spadała na ziemię zbroczoną krwią, zalaną morzem łez...

* * *

Krew oschła i lzy oschły. Pobożowska trupami usłane zarosły... Czcijmy te mogiły bohaterskich męczenników, otaczajmy je miłością i żywą pamięcią. A przede wszystkim idąc tam z podniosłem sercem z tych chwil męczeństwa i chwały

legata centralnego związku. Urządzenie to do pewnego stopnia podobne do urzędzenia takich doświadczeń, przeprowadzanych w Niemczech, przez Tow. roln. niemieckie, jest jednak różnica ważna w tem, że kiedy w Niemczech doświadczenia te przeprowadzają prywatni właściciele swoim kosztem, na ochotnika i tylko rezultaty doświadczeń mniej lub więcej dokładnie zestawione komunikują stacyi centralnej, to tutaj całe doświadczenie robi się na koszt związku i zostaje przez rok cały pod jego kontrolą.

Nowa odmiana, wyhodowana lub ulepszona w Svalöf, idzie naprzód na próbę w uprawę na kilku gospodarstwach a jeżeli okaże się dobrą pod jakimś względem i odpowiednią dla tej lub owej okolicy, wtedy nasienie jej otrzymują członkowie stowarzyszenia do rozmnożenia, a następnie idzie w handel.

A teraz nasuwa się pytanie, czyby czegoś podobnego i w naszym kraju zorganizować nie można? Gdyby się tylko znalazło ludzi dość chętnych a fachowych możnaby przynajmniej osiągnąć wkrótce to, abyśmy dla własnej potrzeby nie byli zmuszeni sprowadzać z Zachodu owych różnych „Triumfów“ „Olbrzymów“ etc. które tak często zawodzą. W pierwszym rzędzie byłyby do tego powołane nasze Towarzystwa rolnicze i gospodarcze, które powinny wzięść tę sprawę w swą rękę i zająć się nią szczerze.

Korab.

POLITYKA.

W wewnętrznej polityce Prus więcej się dziś chmur nagromadziło, niż im mogli

zyczyć najgorszy wróg pruskiego ducha. Zarówno bezprzykładna porażka rządu w sprawie projektowanego prawa o stowarzyszeniach, jak gospodarka konserwatyistów w najwyższych urzędach państwa, spaczenie pojęć konstytucjonalnych w prasie miarodajnej i w pewnych decydujących kołach — wszystko to są symptomy dziwnie pogmatwanych stosunków w jakie zaobręła monarchia pruska.

Z powodu bytności ministra v. d. Recke oraz Miquela w Kilonii u cesarza, nie milną twierdzenia, że cesarz Wilhelm miał ważne narady z obu ministrami celem powzięcia decyzji co do postawy rządu wobec sytuacji, jaka wytworzyła się po odrzuceniu noweli o stowarzyszeniach. Nie pozytywne dnienniki o tych naradach nie podają; tyle jednak zdaje się być pewnym, że cesarz zgodził się na opinię Miquela, iż ponownego wniesienia projektu do ustawy o stowarzyszeniach należy na razie zaniechać; że rozwiązanie Sejmu pruskiego nie jest w obecnej sytuacji pożądanem.

Dlaczego mądry doradca cesarski, Miquel, odradzał cesarzowi rozwiązanie sejmu, jest jasnym. Oto obawiać się prosto należy, że usposobienie opozycyjne w kraju coraz bardziej się szerzy i że wybory wypadłyby bardzo riepzychylnie dla rządu. Socjalni demokraci zamierzają wzięść udział w wyborach do sejmu, a to zapewne nie wieleby się przyczyniło do utrwalenia stronnictwa rządowego. Na południu monarchii wreszcie, w Wyrtembergii i w Bawarii wzmaga się opozycja przeciw systemowi pruskiemu. Coraz częściej omawiana bywa w kołach parlamentarnych możliwość połączenia stronnictw opozycyjnych. Na nieszczęście, Niemcy nie chcą wierzyć w szczerłość opozycji Polaków. Tak naprzykład „Die Zeit“ organ

pastora Naumanna i związku narodowo-socjalnego ogłosił niedawno niezbyt pochlebną charakterystykę polityki posłów polskich w parlamencie i w sejmie (?), zarzucając im przedewszystkiem, że gotowi są zawsze oddać swe głosy na projekty rządowe, zmierzające ku powiększeniu floty i armii. „Ze strony polskiej“ — jak pisze „Zeit“ doszła do niej notatka w odnośnej sprawie, o brzmieniu następującem:

„W jednym z ostatnich numerów, stawia „Zeit“ frakcyi polskiej zarzut, że gotowa ona zawsze głosować za projektami rządowymi w kwestyi powiększenia armii i marynarki. Twierdzenie powyższe wydaje mi się na zasadzie obecnie panującego u nas prądu — co najmniej nieuzasadnionem. Zupełnie słusznem jest, że frakcja polska przed kilku laty chętnie kokietowała z rządem w sprawie rzeczonych projektów. — ponieważ jednak kierunek taki jej polityki napotkał opór średnich klas z łona wyborców, zejść on musiał z porządku dziennego, a na zewnątrz zmanifestowała się ta sama zmiana złożeniem mandatu p. Kościelskiego. Dziś, zdaje się, nic nie uprawnia kogoś do posadzania polskich posłów o sprzyjanie rządowi. Zarówno w sejmie jak i w parlamencie Koła polskie dobitnie podkreśliły tę zmianę frontu: stanęły one w zasadniczej opozycji do rządu i opozycja ta znalazła poklask w kraju. Wypadki dni ostatnich przyczyniły się do utrwalenia tego kierunku polskiej polityki opozycyjnej i dziś każdy może się czuć uprawnionym do zapewnienia, że w najbliższej przyszłości ani jeden głos polski nie będzie podtrzymywał projektów rządowych. Ten kierunek polityki, którego reprezentantem był p. Kościelski należy obecnie do przeszłości. W prasie polskiej (krajowej?) nie ma dziś nawet ani jednego pisma,

bierzmy, my żywi, którym na pobojuwiskach żyć przyszło, przykłady ich cnót, ich hartu i ich poświęceń...

Skończył się heroiczny bój. Poległym na polu bohaterskiej walki, straconym na moskiewskich zubienicach, męczonym pod chłostą katów, umarłym na sybirskich przestworzach, wszystkim tym bohaterom w ostatniej walce o niepodległość, naród przechowa wdzięczną pamięć i cześć. A nam żywym, a zwłaszcza nam młodszym, którym nie było dane dla ojczyzny poświęcić krwi ni życia, nam, którym przyszło pracować w lepszych warunkach bytu, niechaj pamięć tych szlachetnych serc i podniosłych dusz i przykład tych wielkich nieustraszonych w odwadze, a wiernych w miłości Ojczyzny patriotów, przyświeca w spełnianiu codziennych obowiązków życia, aby kiedyś nie powiedziano, że Polacy umiemy za Ojczyznę ginąć, lecz nie umiemy dla niej żyć.

Te obowiązki życia codziennego spełniać, pracę nad sobą, nad własnym podniesieniem i udoskonaleniem, nad wewnętrzną poprawą podejmować na każdym posterunku, gdzie jak komu padło, żyć dla tej wielkiej idei, za którą ojcowie nasi, stryjowie nasi i bracia nasi męczeńską śmierć ponieśli — oto czego się od nas dziś Ojczyzna domaga, oto wszystko, co nam w tej chwili spełnić przypało.

X Życie za wolność.

(31 lipca 1847 r.)

Na wschodnio-północnym krańcu Lwowa jest wzgórze, nazwane niegdyś pogardliwym mianem „góry tracenia“. Lwowie nie miejsce to wskazują z dumą i otaczają je czcią prawdziwą — bo góra ta, to mogiła, kryjąca zwłoki jednego z najszlachetniejszych obrońców wolności narodowej.

Na jej szczycie wznosi się pomnik ze zrywającym się do lotu orłem, a na kamieniu wyryte są słowa: „Teofilowi Wiśniowskiemu straconemu na tem miejscu dnia 31-go lipca 1847 roku za wolność Ojczyzny, Mieszczaniestwo lwowskie.“

Ktokolwiek będzie we Lwowie, niech niezapomni wziąć tego wzgórze, a tymczasem posłuchajcie, czyje kryje ono popioły.

Po upadku powstania listopadowego (1847 roku), mimo ciężkich klęsk, Polacy nie stracili nadziei, że przeciw musi wybić dla narodu godzina wolności. Pracowali więc nad podniesieniem ludu, łączyli się w związki, tworzyli towarzystwa, których celem było umacniać w narodzie wiarę i lepszą przyszłość, oświecać lud i przygotowywać młodzież do zbrojnego powstania. Pracowano w kraju i za granicą, gdyż większa część tych, którzy brali udział w powstaniu, musiała uchodzić z kraju, z obawy przed karą wroga i oni

to tworzyli tak zwaną emigrację czyli wychodźstwo. Praca stowarzyszeń pokryta była największą tajemnicą, gdyż rządy: austriacki, pruski i moskiewski ściągali surowo Polaków, pracujących nad oswobodzeniem Ojczyzny i karały ich jak zbrodniarzy. Więc chyłkiem, pod obcym nazwiskiem przekradali się przez kraj tak zwani emisaryusze, to jest tajni wysłańcy, którzy roznosili polecenia Rządu Narodowego, mającego główną siedzibę w Paryżu.

Takim to emisaryuszem pełnym zapaćcia się, poświęconym całą duszą sprawie narodowej był Teofil Wiśniowski. Wyrzekł się on dostatków, porzucił dom i poświęcił się całej sprawie narodowej. Pomimo nieustannych poszukiwań policyi, przemykał się pomiędzy śledzącymi go szpiegami, przebrany to za księdza, to za żyda, to za chłopa i tak krążył po ziemiach wszystkich trzech zaborów.

Nareszcie nadeszła chwila, gdy cały kraj miał powstać w jednym dniu i godzinie. Ale rządy zaborcze wysledziły spisek Polaków. Zaczęto aresztować ich tłumnie. Rozstawiono warty na gościncach, aby powstańcy porozumieć się i połączyć ze sobą nie mogli.

Nie wiedząc o tem, co się dzieje, mała garstka powstańców zebrała się, wedle wprzód otrzymanego rozkazu, pod Narajowem, w karczmie zwanej Krągłą. Tu miało się zebrać 250 zbrojnych, a potem złączyć się z drugim takimże oddziałem i uderzyć na Narajów.

Teofil Wiśniowski, jako członek Rza-

Najlepsze gilzy do papierosów są: z fabryki mechanicznej gilz „Szeliga“ S. Zychlińskiego

W Poznaniu, Wilhelmowski Błoc. Nr. 0

któreby chciało kruszyć kopie w obronie tej polityki“.

Do słów tych łączy „Die Zeit“ swą własną uwagę: Wskutek niezbyt przychylnego obchodzenia się z nimi, Polacy istotnie pozbyli się poczęści swego entuzjazmu dla floty i armii. *A jednak jednogłośnie głosowali za rządowym projektem artyleryjnym, który z takimi kosztami był połączony“.*

Zalować tu należy, że w rzeczy samej Koło polskie zajęło w sprawie kredytu na reorganizację artylerii takie stanowisko, które uprawnia gazety niemieckie opozycyjne do robienia zarzutów Polakom, że idą za rządem. Jeśli wypadki z przed kilku miesięcy nie wystarczyły do energicznej opozycji, to chyba wystarczyły ostatecznie podszezwania lakatystów.

Przyjazd cesarza niemieckiego do Petersburga nie wywarł jakoś zbyt głębokiego wrażenia na prasie rosyjskiej. Ponieważ jednak w rzeczach wyższej polityki dotyczących prasa rosyjska prawie zawsze tylko to pisze, czego sobie rząd rzeczy, — wnosićby przeto można, że wizyta cesarza Wilhelma w Petersburgu nie będzie niczem innym, jak tylko prostym aktem konwencyonalnej grzeczności, który do żadnych ściślejszych stosunków między Rosją a Niemcami nie doprowadzi. Przypisać trzeba, że Rosjanie starają się gościnnie przyjąć swych przyjaciół z nad Szprewy. Magistrat miasta Petersburga uniósł się nawet tak dalece grzecznością, że marynarzom niemieckim, stanowiącym załogę okrętów cesarskich, ofiarował aż cztery tysiące pudełek prawdziwych rosyjskich papierosów, prócz tego znaczną liczbę kart wolnego wstępu na widowiska publiczne.

Oficjalne organy niemieckie i austriackie obiecują sobie coprawda bardzo wiele

du Narodowego wezwał zebranych do przysięgi. Powstańcy otoczyli go kołem, ale w chwili gdy składali w jego ręce przysięgę, padł pomiędzy zebranych strzał. Spiskowcy podnieśli broń i strzelili w sień karczmy. Równocześnie usłyszeli tentent uciekających jeźdźców. Wypadli więc z karczmy, sformowali oddział i pod komendą Józefa Wysockiego pospieżyli w stronę Narajowa.

Było ich zaledwie 32. Wiśniowski szedł z nimi i przestrzegał, jak mają postępować z huzarami, których spodziewano się lada chwila. Jakoż wnet pojawił się cały szwadron jeźdźców; powstańcy rozstąpili się na dwie strony, a gdy huzarzy wjechali pomiędzy nich, dali naraz ognia. Padły strzały, zsunęli się z koni zabici i ranni, a że w cieniach nocy huzarzy nie widzieli, z jaką siłą walczą, więc komendant dał hasło do odwrotu. Jak wicher przelecieli huzarzy przez Narajów i uciekali dalej, rozsiewając po drodze wieści o tłumach powstańców...

Lecz nadaremnie mały oddział dzielnych ochotników czekał na towarzyszy. Nieprzybył nikt, gdyż niedopuszczono nikogo. Na głowę Wiśniowskiego rząd nazначzył cenę tysiąca złotych reńskich. On dowiedziawszy się o tem dążył do Pomarzan, a potem do Manajowa, gdzie zwykle znajdował schronienie. Dla bezpieczeństwa przebrany był za księdza, ale niechcąc w dzień iść przez wieś ukrył się w brogu siana. Zmęczony kilkodniową tułaczką i ukrywaniem się przed po-

po podróży cesarza Wilhelma, a mianowicie — ukończenie pertraktacji pokojowych w Carogrodzie. Nadzieja ta — jak i tyle innych zapewne okaże się zwodniczą.

Sprawa wschodnia dziś tak się zawiąklała, że po prostu jej drogi wyjścia nie można wskazać.

Korespondent berlińskiego „Tageblattu“ tak opisuje stan rzeczy w Carogrodzie:

„Wszyscy pragną pokoju, i stan rzeczy nagli, ażeby zawarto go jaknajrychlej. O Grecy nie chcą już mówić. Każdy dzień zwłoki przyspiesza jej ruinę i trzeba będzie 20 i nawet 30 lat, nim powetuje ona poniesione straty.

„Ale i Turcja potrzebuje pokoju. Powszechnie wiadomo, że silne niezadowolone panuje w szerokich warstwach ludności, zwłaszcza zaś niższej. Położenie ludu nigdy nie było świetne, dzisiaj zaś pogorszyło się znacznie, ponieważ wojna nie tylko pozbawiła rodziny tysięcy osób zdolnych do pracy, ale nadto nałożyła ciężary pieniężne: wymuszane zaległości podatkowe i nadto zbierane ofiary i składki, zwykle niedobrowolne. Nie dość tego. Skutkiem niustających deszczów na wiosnę zbiory przepadły. Lud, chociaż raduje się ze zwycięstwa wojsk, chociaż cieszy się z upokorzenia Greków, przecież tem wszystkim nie zaspokoi głodu. Szmerze więc przeciw rządowi, iż niepotrzebnie przedłuża stan wojenny i nakłada ciężary.

„Niepodobna zaprzeczać, iż to niezadowolone zawiera w sobie pierwiastki poważnych niepokojów, które w razie czego będą skierowane nie tyle przeciw rządowi, ile przeciw Europejczykom uchodzącym powszechnie za sprawców wszystkiego złego“.

Tyle korespondent „Tageblattu“. Skąd-

szukującymi go, zapalił fajkę, a dym jej zdradził go, bo przechodzący tamtędy chłop Iwan Budnik zajrzał do brogu, a obaczywszy nieznanego księdza, sprowadził swego brata i kilku sąsiadów, i związawszy Wiśniowskiego odstawili go do Złoczowa.

Zamorski dowiedziawszy się o schwytaniu nieznanego księdza, w którym dorozumiewa się Wiśniowskiego, postanowił go ratować i co rychlej pospieżył do Złoczowa. W rzeczy samej udało mu się wyprzedzić chłopski konwój i siłnemi przedstawieniami zdołał nakłonić miejscowego starostę, Andrzejowskiego, iż rzekomego księdza kazał pozostawić na wolnej stopie w mieście. Za kilka dni przyjaciele mieli ułatwić Wiśniowskiemu ucieczkę. Los zrzucił inaczej. Rząd wysłał sędziego śledczego, Wiktora Sellyeya, który znał Wiśniowskiego jeszcze z poprzedniego śledztwa. Za przyjazdem do Złoczowa, Sellyey stwierdził, że pod sutanną ukrywa się tak pilnie poszukiwany powstaniec. Okutego w kajdany, przewieziono do Lwowa i osadzono w więzieniu pokarmelickiego gmachu, tam, gdzie dziś budują nowy gmach sądowy przy ulicy Batorego.

Równocześnie z Wiśniowskim dwaj inni skazańcy zawisnąć mieli na szubienicznym słupie. Pierwszym z nich był Józef Kapuściński, drugim ksiądz Leopold Kmietowicz, przywódzca ludowego powstania w Chochołowie.

W środę dnia 28 lipca 1847 już o świcie gęsty kordon wojska zamknął z dwóch stron dzisiejszą ulicę Batorego, a

inąd nadchodzą wiadomości potwierdzające jego doniesienia.

Według opisu nadesłanego z Carogrodu, setki kobiet i dzieci żołnierzy zabitych w ostatniej wojnie zgromadziły się przed ministeryum wojny ze skargami, że giną z głodu. Ich mężowie przez cały rok żołdu nie otrzymywali, a pensyi, wdowom i sierotom wyznaczonych, dotąd nie wypłacono.

W Atenach ludzą się nadzieją, że Grecya będzie mogła wypłacić 4 miliony Turcyi odrazu i w ten sposób zmusić ją do natychmiastowego wycofania wojsk z Tesalii. Opowiadają w stolicy, że król Jerzy ma już w ręku przyrzeczenie francuskich i angielskich kapitalistów, iż kwoty tej rządowi greckiemu dostarczą. Podobno też jacyś greccy bankierzy z Aleksandryi ofiarowali swe miliony.

Jednakowoż nie milkną jakoś posłuchy o abdykacyi króla.

Zarówno w Niemczech jak i w Austrii sprawiły powodzie w ostatnich paru tygodniach niesłychane straty. Szkody w Austrii są poprostu nieobliczalne. Nie dziw też, że zajmują się niemi gorączkowo umysły, a przyczynia się to pośrednio do usunięcia na drugi plan zatargów między narodowościami. Zwłaszcza po wiecu w Cieszynie doszły stosunki polsko-niemieckie na Szląsku do wysokiego napięcia. Zadaniem rządu będzie pogodzić te wszystkie zwaśnione strony — a zadaniu temu, jak się zdaje, hr. Badeni nie podola.

Po ukończeniu zwykłych swych czynności, parlament angielski został urzędowo zamknięty. Przy tej sposobności wygłoszono następującej treści mowę tronową: „Stosunek przyjazny Anglii do wszystkich państw obcych nie uległ żadnej zmianie. Wspólne usiłowania mocarstw,

mimo to za kordonem gromadziły się na placu Halickim i w ulicach sąsiednich nieprzejrzane okiem tłumy publiczności. Otwarte okna sąsiednich domów przepelnione były oczekującymi wyroku.

Tak mijały godziny. Nareszcie rozwarła się brama więzienna a w niej pojawił się Teofil Wiśniowski. W więzieniu wylysiał, twarz mu obrzękła, oczy mgłą zaszyły. Długi wąs ocieniał jego usta. Postępował powoli, gdyż nogi miał spuchnięte, obolałe i na krzyż skute kajdanami. Wstąpiwszy na pręgierz, zbudowany z desek przed balkonem zburzonego już dziś gmachu kryminalnego, spojrzął w około i zawołał silnym głosem: Witam was rodacy! Wśród tłumu zafalowało i jak kłosa na łanie za powiewem wiatru, pochylili się głowy zgromadzonego ludu na widok przyszłego męczennika. Placze i jęki rozlegały się do koła. Tu i owdzie kobiety mdlały. Na balkonie sądowego budynku ukazał się młody człowiek z papierem w ręku, który bezdzwięcznym głosem jał odczytywać treść zapadłego wyroku. Wiśniowski nie słuchał czytania. Naprzd wzrok swój zwrócił ku oknu domostwa, gdzie przebywała jego rodzina. Kurcz bolesny przeleciał po jego twarzy; ale chwilę tylko trwała ta oznaka słabości i znów wypogodżonem okiem wodził do koła, pochylając od czasu do czasu głowę na znak powitania, podzięki, czy też pożegnania, gdy spostrzegł wśród tłumu twarz przyjazną lub znajomą. Skończyła się wreszcie publikacya wyroku. Wiśni-

skierowane w celu odwrócenia wojny grecko-tureckiej, nie odniosły na nie-szczęście pożądanego rezultatu, niebawem jednak po tej wojnie przystąpiły mocarstwa w zgodnym porozumieniu ze sobą do pośredniczenia w zawarciu pokoju. Pokój ten zostanie niebawem zawarty. — Angielski rząd wypowiedział traktaty handlowe zawarte z cesarzem niemieckim i królem belgijskim, ponieważ stały one na przeszkodzie w dobrych stosunkach Anglii z koloniami. Przy obchodzie jubileuszowym wykazała obecność przedstawicieli kolonii, jak dalece one sprzyjają rozwojowi ekonomicznemu Anglii i jak chętnie chcą połączyć się siecią wspólnych interesów. — Co się tyczy zarazy i klęski głodowej w Indyach, to rząd angielski — mówi tronowa mowa — zrobił wszystko co było w jego mocy, aby klęsce tej zapobiedz. — Tyle mowa trónowa: zle języki mówią jednak inaczej.

Dnia 8 b. m. strzelił w Santa Agueda z rewolweru Włoch-Neapolitańczyk po kilkakroć do prezesa gabinetu hiszpańskiego; Canovas del Castillo otrzymał trzy śmiertelne rany, o godz. 1szej w południe wyzionął ducha, wymówiwszy te słowa: „Niech żyje Hiszpania!“ Mordercę anarchistę ujęto, nazywa się Michał Augue Gollo.

PRZEGLĄD PRASY.

Dwa tematy wypełniają szpalty pism naszych z ubiegłego tygodnia: śmierć Asnyka i wiec cieszyński. Tematy te są smutne oba — nie wesołe są też uwagi jakie się z ich powodu nastęrczyć mogą.

wski chciał w górę podnieść ręce, jak gdyby pragnął pobłogosławić obecnych, ale tylko ponury brzęk kajdan rozległ się w przestrzeni. Jeszcze jedno spojrzenie dokoła i zawołał gromkim głosem: Zegnam was Polacy!

Jęk i płacz ozwały się ponownie wśród tłumów a tuż pod pęgierzem jakiś niemłody mężczyzna wykrzyknął, ile mu sił starczyło: „Słodko i szlachetnie umierać za Ojczyznę!“ poczem zaraz otoczyła go policya, widząc siłą na strażnicę. Odprowadzono do więzienia Wiśniowskiego, a miejsce jego na rusztowaniu zajął drugi skazaniec, Kapuściński.

Od chwili ogłoszenia wyroków, poczęli skazanych odwiedzać księża, niosąc im ostatnią pociechę duchowną. Wychodząc z więzienia, lży mieli w oczach. Dozwolono także po wielu trudnościach rodzinie Wiśniowskiego wstępu do jego kaźni. Skorzystali też bezzwłocznie z owego pozwolenia przybywający we Lwowie bratankowie jego, którzy tak opisują swą bytność u stryja: Sala, w której się znajdował, nie była wielką. Było w niej wiele urzędników i żołnierzy. Po prawej i lewej stronie stryja stał żołnierz z bronią tak blisko, że prawie bagnetem twarzy jego dotykał. Gdy nas ujrzał, był mocno wzruszony, chciał nam ręce podać, lecz były okute. Przemawiał do nas w gorących słowach, pragnął wiele mówić i wynurzyć się, lecz nie pozwolono mu. Ostatnie jego słowa, które nam się mocno w pamięci wyryły, były:

Do charakterystyki Asnyka, jako człowieka sercem całym oddanego krajowi i z niepokojem śledzącego jego losy, odnosi się poniższy ustęp ze „Słowa Polskiego“:

»Inna za to sprawa zajęła go w ostatnich latach: Towarzystwo szkoły ludowej. Należał do jego założycieli — był jego pierwszym prezesem i pozostał też czynnym przewodnikiem Towarzystwa, dopóki go ostatnia choroba nie zmusiła do bezczynności. Jego nazwisku, jego osobistej działalności zawdzięcza Towarzystwo bardzo wiele. Dumny był z tego, iż Towarzystwo zebrało już znaczny kapitał żelazny oświaty narodowej, cieszył się pomyślnym wynikiem składek na szkołę polską w Białej — i pomimo niedobrego stanu zdrowia zjeżdżał sam do Lwowa dla rokowań w tej sprawie. Charakterystycznym jest fakt, że gdy zawsze unikał wszelkich publicznych owacy i uchylał się od nich usilnie, gdy jubileuszu, który przyjaciele urządzać chcieli, nie przyjął — zgodził się na jubileusz wtedy, gdy połączono go ze zbieraniem składek na szkołę polską w Białej. Było to z jego strony rzeczywistą ofiarą, tak niezgodne było z jego naturą przyjmowanie wszelkich publicznych owacy.«

Na tych samych łamach nieledwie co nekrologi Asnyka dziwne zrzęczenie losu postawiło sprawozdania z wieca w Cieszynie. Wiec ten spełził prawie na niczem z powodu awantur na jakie pozwolili sobie socjaliści. Pisze z tego powodu „Słowo Polskie“:

»Zachowanie się socjalistów na wiecu cieszyńskim pozostanie plamą na partyi socjalno-demokratycznej. Cokolwiek mówią o swoich narodowych uczuciach, któremi czasem w wyjątkowych chwilach lubią paradować, jest po wiecu cieszyńskim pospolitą obłądą, na której już dziś każdy się

pozna, jest kłamstwem, któremu nikt już nie uwierzy. Kto jest Polakiem, kto język ojczysty miłuje, kto chce odzyskania praw narodowych, ten nie może na takim wiecu, jakim był cieszyński, tak się zachować, jak to socjalna demokracja uczyniła, nie może wywoływać rozwiązania wiecu. Jedno wyklucza — drugie. Tem postępowaniem socjalno-demokratyczna partya wykluczyła się stanowczo z narodowego obozu, zerwała z nim, stanęła nie tylko po za nim, ale i przeciw niemu.«

A trzeba było tylko widzieć jak chętnie garnał się lud polski do tego wieca, jak wielkie w nim pokładał nadzieje. Dobrze charakteryzuje cały nastrój w jakim przyszli na wiec jego uczestnicy — poniższy list biednych górali polskich z gmin Istebny, Jaworzynka i Koniakowa:

»Wysokie przydydm wiecu cieszyńskiego! My górale z kresów, zwykle pogardzani i uważani za nieświatłych prostaków, przybyliśmy także z naszych gór, ażeby oświadczyć naszą solidarność z światlejszymi naszymi współbraćmi Dolanami i również się domagać praw nam przynależnych. Szak my, nazywani górale, to najwięcej uczuwać musimy, żeśmy snać rasą niższą, bo z góralek każdy pisarczyk by pomiatał, a z niego kpił, do wojska ale a do roboty to dobry gorzan. Prawda, że się nas stawiała niepokazna liczba, niech to ale nie uznawają nasi współbracia za lenistwo, albo coś innego, nas by tam stanęło tyle, żebyśmy potrzebowali osobnego pociągu, ale u nas wielka bieda: nie staje na kolej i na strawne. Wyszli za nas nasi wójci i zastępcy, a ci zastępują nas z trzech gmin, to jest nad 1000 dusz, bośmy tu wszyscy jednego zdania, a wszyscy stoimy ciałem i duszą przy sprawie narodowej.«

Przytaczając list ten pisze „Dziennik Berliński“:

„Kochajcie Polskę, bądźcie dobrymi ludźmi“.

W dniu trzydziestym lipca przyjęli skazani św. Sakramenty. Ostatnią noc przebył Wiśniowski spokojnie. O godzinie wpół do szóstej rano musiano go zbudzić, gdyż spał snem sprawiedliwego. Dzień był smutny i pochmurny.

Tymczasem już o świcie przyległe do gmachu kryminalnego ulice i place zalał tłum wielotysięczny, zachowujący uroczystą ciszę, gdyby w świątyni Pańskiej. W oknach domostw pobliskich przygotowano stopy kwiatów, którymi chcieli zarzucić skazańców i dlatego władza kazała ich wywieść odmienną, niż zazwyczaj, drogą na miejsce kaźni. Z uderzeniem godziny szóstej rano, dwa szwadrony huzarów, otaczające do tej pory główną bramę więzienną, od strony ulicy Batorego, zmieniły nagle front i rozdzieliły się na osobne oddziały. Jeden z nich podążył ulicą Kamienną, drugi placem Bernardyńskim, ku znajdującemu się na tymże placu tylnej furcie więziennej, otwierając i zamykając pochód skazańców, którzy otoczeni silną strażą jechali na zwykłych, chłopskich wozach. Na pierwszym wozie siedział z krzyżem w rękę Wiśniowski w towarzystwie księdza Bernardyna, podczas gdy drugi zakonnik towarzyszył jadącemu na następnym wózku Kapuścińskiemu. Lud, zgromadzony przed kryminalnym, rychło spostrzegł podstęp i pobiegł z głową obnażoną ku skazańcom, ciszkając równianki kwiatów na ich wozy,

które posuwały się dzisiejszym placem Halickim i Maryackim, tudzież ulicami: Karola, Kudwika, Kazimierzowską, Janowską i Kleparowską ku górze tracenia, otoczonej czworobokiem, przez wojsko sformowanym. Gdy pochód mijał kościół św. Anny, ozwał się dzwonek za konających... Poza szeregi żołnierzy, u stóp góry, wjechały wozy z skazańcami, którym teraz dopiero zdjęto kajdany. Wiśniowski rozstając się z swym spowiednikiem, wręczył mu ślubną obrączkę, zaś Kapuściński zrzucił swój surdut, oddając go chłopcu powożącemu. Skoro tylko puste wozy wyjechały za kordon wojskowy, młodzież rzuciła się na nie i w mgnieniu oka rozerwała słomę, tworzącą siedzenie straceńców. Wiśniowski zginął z okrzykiem: Niech żyje Polska! któremu przywodził Kapuściński, wołając: Bracia! Nie dajcie się odstraszyć śmiercią moją... reszty już nie domówił... Do wieczora ciała straconych pozostały na szubienicach. Na wzgórzu ustawiono straż, złożoną z oddziału piechoty trzydziestego pułku, oraz agentów policyjnych, lecz mimo obawy przed prześladowaniem przybyli ukradkiem na miejsce kaźni patryoci, by pomodlić się za dusze męczenników. Komendant posterunku, zacny Niemiec, Tupi, nie bronił publiczności przystępu do zwłok straconych i z jego udziałem dowiedziała się młodzież, dopraszająca się o jakąkolwiek pamiątkę po ofiarach, iż oficerowie, asystujący z obowiązku przy egzekucji, mówili o śmierci Wiśniowskiego

»I taki wiec, na który złożyło się tyle miłości ojczyzny, tyle ducha i prostej naiwnej wiary w dobrą sprawę, spełził tak smutnie!

Ciężką odpowiedzialność na siebie wzięli ci, co swym protestem wiec ten zerwali, a tyle pereł miłości ojczystej wyjętej z pod serca prostego ludu, rzucili w błoto! Nie zasługują oni na godność narodową, bo ja sami zbrukali«.

Zestawienie śmierci Asnyka z wiecem w Cieszynie nasunęło „Dziennikowi Berlińskiemu“ jeszcze jedną smutną uwagę:

»W sobotę, udającego się do Cieszyna, dra Ernesta Adam Asnyk prosił, aby po powrocie z wieca w Cieszynie odwiedził go i opowiedział o przebiegu.

Śmierć nie pozwoliła mu dożyć tej bolesnej chwili, kiedy musiałby się oblać rumieńcem wstydu, słysząc jak smutnym był przebieg tego wieca, na który oczy zwrócone miała cała Polska.

Odchodząc w inne, lepsze światy, zabrał ze sobą nadzieję, że duch polski w coraz wyższe wzbija się regiony...«

Nie tracąc nadziei, że ten duch polski wzniesie się w te „wyższe regiony“ ze smutkiem spostrzegamy jednak, że zaczyna on znów pelzać w gąszczach „ugody“ zainicjowanej przez „Czas“ krakowski — którego programem jest zawieranie wszędzie i zawsze przynierza z siłą: tu chyli on kornie czoło przed stopami Azyatów, tu przed stopą krzyżacką. — Lecz społeczeństwo nasze wie już jaką ma miarką mierzyć te eksperymenty „Czasu“ krakowskiego, uporczywie zdążające do zabicia ducha w narodzie. Jako odpowiedź na zapędy „Czasu“ przytoczyć tu można poniższe słowa „Dziennika Poznańskiego“:

i Kapuścińskiego: „Der Erste ist wie ein Heiliger, der Zweite wie ein Löwe gestorben“ — „pierwszy umarł jako święty, drugi jako lew“.

O godzinie wpół do siódmej wieczorem zdjęto ciała ze słupów i rozebrane do bielizny, spuszczone w dół przygotowany u stóp szubienicy, a wypełniony do połowy niegaszonym wapnem. Następnie posypano zwłoki świeżą warstwą wapna, zalano wodą i kurzacy się dół zarzucono co rychłej ziemią. W ten sposób zamierzała policja przeszkodzić wykradzeniu ciał z góry tracenia przez ludność. Młodzież całowała nogi straconych, a gdy przy spuszczeniu zwłok Wiśniowskiego z szubienicy oderwał się guzik od jego surduta, podniósł takowy skwapliwie Tupi i rozpiłowaławszy na kilka części, obdziałelił niemi najbliższej stojących.

Tak zginął przed pięćdziesięciu laty szlachetny męczennik, który poświęcił życie za wolność narodu.

Rodacy, zapamiętajcie sobie jego nazwisko, powtarzajcie je ze czcią i dumą, bo i wy jesteście synami tego samego, co i on narodu.

Uroczysty obchód pięćdziesiątej rocznicy zgonu Teofila Wiśniowskiego i Józefa Kapuścińskiego we Lwowie, odbył się we wielkiej sali ratuszowej przepełnionej publicznością, staraniem lwowskiej młodzieży akademickiej i rękodzielniczej. Młode, jednym uczuciem przejęte serca — połączyły się wspólnie celem uczczenia, rocznicy tak pamiętnej dla wszystkich Lwowian i dla całej Polski.

»Streszcza się przekonanie nasze w tych zasadach i postanowieniach, że statecznie bronie będziemy praw naszych przyrodzonych i uroczystymi aktami poręczonych, że pozostaniemy narodowo tem, czem nas zrządzenie Boże i przebieg dziejowy uczyniły i z czem nas wiąże nierozdzielnie całe nasze poczucie wewnętrzne, pełniąc z drugiej strony te obowiązki, bez wszelkich zamiarów ubocznych, a zatem z dobrą wiarą, jakie na nas wkładają, wśród których życie nam przypadło i wśród których życie pragniemy w zgodzie i pokoju z wszystkimi współobywatelami naszymi dobrej wiary, z którymi pod każdym względem czujemy się być równouprawnionymi«.

Tą tylko zasadą chce się rządzić nasze społeczeństwo, chce ono dochodzić praw swych, a nie zaś łaski, którą mu w perspektywie ukazuje „ugoda“.

Temi też tylko myślami powodowali się nasi posłowie, gdy w pamiętnych dniach »rozpraw polskich“ w lutym nie wahali się powiedzieć rządowi i hakatystom całej prawdy w oczy. Widocznem to jest zresztą ze sprawozdania z działalności posłów naszych, które wygłoszonym zostało w „Dzienniku Poznańskim“:

»Dzień 10 lutego był dla nas o tyle jeszcze ważnym, że znalazł się w obozie niemieckim mąż, który wiedziony uczuciem prawa i sprawiedliwości zdarł maskę z obłudnego oblicza hakatyzmu, strojącego się w piórka patriotyzmu, który u jego zwolenników niczem innym nie jest jak cynicznym egoizmem. Był to poznański poseł Jaekel, który słynną mową swoją, zainicjował trzydniowe debaty polskie i który poruszył całe gniazdo os, gdy w imieniu obywatelstwa niemieckiego w Księstwie, oświadczył, że »on nie wie w ogóle o istnieniu jakiejś niebezpiecznej dla państwa agitacji polskiej«, że hecę antypolską uprawiają tylko »junkrzy i streberzy«, że minister spraw wewnętrznych postępowaniem i mowami swemi przyczynia się do tej hecy, której wybrki mówca egzemplifikował pomiędzy innymi na przykładzie zajścia opalenickiego i walki przeciw melodyom polskim w poznańskim ogrodzie zoologicznym. To śmiałe słowo wyprowadziło z równowagi rycerzy hakatyzmu w sejmie, którzy z sławnym panem Tiedemanem z Babimostu na czele z całym impetem rzucili się na pana Jaekela jako na zdradę sprawy niemieckiej, który jednakowoż nie uląkł się natarcia, odpierając liczne zarzuty polonofilstwa temi pięknymi, sprawiedliwego męża cechującymi słowy: »moja sympatya dla Polaków wypływa z uczucia, że im się dzieje krzywda«.

Dzieje się zaś ona nietylko na polu politycznym, ale i na polu ekonomicznym.

Proszę spojrzeć tylko w łamy „Geselligera“, który jak oprawca jaki radby zedrzyć skórę z polskiego robotnika, wyzyskać go i rzucić potem w kąć jak sprzęt nieużyteczny. Ot, choćby ostatnia debata „Geselligera“: z powodu złego stanu rolnictwa dostatecznie ilustruje jakimi się rządzi powodami „Geselliger“:

„Jako jeden z powodów rzekomej biedy podaje pismak geselligerowski brak robotnika na wsi. Ludzie ze wsi garną się do miast, a na wsi brak rąk do pracy i trzeba sprowadzać robotników z Polski, wskutek czego miliony marek wychodzą do Rosji.

Nie jest żadną przyjemnością — smaruje dalej — pracować z ludem z Rosji, który nie zadawalnia się już małą zapłatą (aha!

śpiewać darmo, boli gardło), a źle (!) tylko pracuje. Z małemi wyjątkami jest to po prostu hołota (Rasselbande), leniwa, podła, głupia, ograniczona i niechlujna — niektórzy rozróżniają się doprawdy tylko postacią ludzką od bydła!... Ze nie przesadzam, przyzna mi każdy, kto ma z tem towarzystwem do czynienia, — no i z nim samym, powinien był dodać ów troskliwy o los robotników dziedzic, bo jakiej kto smaki, myśli, że i każdy taki«.

„Gazeta Gdańska“ na to taką krótką, lecz trafną robi uwagę:

»Sposób, w jaki walkę »Geselliger« prowadzi, charakteryzuje usposobienie krzyżaka, widzącego w polskim robotniku po prostu bydło, z którym też po bydłemu obchodzić się można.

Wycisnąć niby cytrynę polskiego robotnika, za jego pracę w pocie czoła wykonaną napełnić szkatułę grosiwem, a potem zelżyć go w ohydny sposób — oto okaz wdzięczności niemieckiej.

Niestety! niejeden to już z nas przekonał się na własnej skórze, jak prawdziwym jest zdanie powyższe. Nasze położenie pod każdym względem się pogarsza, bo mili hakatyści dokładają, jak mogą, ręki do tego, aby nam pobyt w naszym własnym kraju uczynić podobnym do kary w piekielnych czeluściach.

A oto nowy przykład: Do „Gazety Grudziądzkiej“ piszą z Sobót:

»Kazanie polskie mieliśmy usłyszeć w zeszłą niedzielę w kapliczce katolickiej przy ulicy Północnej, a miał takowe wygłosić czcigodny ks. prałat Grabowski, lecz jakież było zdumienie zebranych w kapliczce wiernych, iż z powodu zakazu Najprzew. księdza Biskupa kazanie takie wygłoszonym być nie może.

Według zasięgniętych z naszej strony informacji wydanym został w samej rzeczy zakaz, uniemożliwiający obcym księgom wygłaszane kazania polskich i to wrzekomu dlatego, że ci obcy księża na ambonie uprawiają — politykę(!).

Musimy przyznać, że ten argument dla nas jest więcej niż nowością, gdyż znamy Copoty od lat 10, a do tej pory o uprawianiu polityki przez obcych księży nie nie wiemy.

Dzieją się, o! dzieją się rzeczy coraz bardziej... oryginalne!«

Wśród tych zapasów, które zmuszonym jest prowadzić duch polski na każdym polu — jeden jest tylko promień nadziei, na który słusznie zwraca uwagę

„Gazeta Grudziądzka“ pisząc:

»Pan Bóg nie błogosławi usiłowaniu polakożerców, chcących nasz naród wypierać z dawnych jego siedzib.

Taka myśl nasuwa się każdemu, kto przeczyta artykuł, jaki napisała katolicka »Schles. Volkszeitung« o postępie kolonizacji ziem polskich przez hakatystyczny Landbank.

Landbank berliński zakupił dotąd 70,000 mórg ziemi w Prusach Zachodnich i Księstwie Poznańskim. Chodzi teraz o to, aby na tej ziemi osadzić niemieckich, a co najgłówniejsze luterkich kolonistów. W gorących słowach przemawia Landbank do »landsmannów«, aby przybywali na wschodnie kresy »niemieckie«, aby przynieść tu niemiecką kulturę. Swoją drogą Landbank w tych swych dążeniach ku popieraniu niemieczyzny na wschodnich kresach ma także i »geszefcik« własny na celu. Kupił bowiem już 30,000 mórg, a jeszcze

KORESPONDENCYE.

Kraków, 7-go sierpnia.

Pogrzeb Asnyka.

(Oryginalna korespondencya „Pracy“.)

Pogrzeb zwłok ś. p. Adama Asnyka był imponujący. Orszak wyruszył z domu żałoby przy ul. Łobzowskiej o godz. 4 ej po południu dnia 6 go b. m. Na czele orszaku postępowały trzy plutony straży pożarnej miejskiej i ochotniczej, następnie reprezentanci stowarzyszeń, cechów i zgromadzeń rzemieślniczych z chorągwiami, stowarzyszenia akademickie, zbór ewangelicki, zbór izraelski, artyści dramatyczni, członkowie kongregacji kupieckiej, członkowie Towarzystwa tatrzańskiego, technicznego, członkowie innych stowarzyszeń, koło literacko-artystyczne, „Beseda“ czeska, kolegium adwokatów i notaryuszów, Towarzystwo lekarskie, izba przemysłowo-handlowa, magistrat m. Krakowa, rada miejska Podgórze i delegacye miast, rada powiatowa krakowska, delegacye rad powiatowych i Towarzystwo rolnicze, Towarzystwo strzeleckie, delegaci z różnych stron, duchowieństwo zakonne, duchowieństwo świeckie, kapituła krakowska, celebrans ks. kanonik Cent.

Za trumną, złożoną na karawanie, okrytą kwiatami polnemi, postępowała rodzina Asnyka, marszałek krajowy, Stanisław hr. Badeni, członkowie sejmu lwowskiego, profesorowie uniwersytetu jagiellońskiego i lwowskiego, członkowie Aka-

demii umiejętności, reprezentanci wyższych zakładów naukowych i szkoły sztuk pięknych, członkowie rady miasta Krakowa i rady miasta Lwowa. Orszak żałobny zamykał pluton straży ogniowej, po którą kroczyły nieprzejrzane tłumy publiczności.

Publiczność sama tworzyła szpalery na ulicach.

Na ulicach, przez które przechodził orszak żałobny, paliły się latarnie, kirem okryte, a handle były pozamykane.

Przed domem żałoby przemawiał prezydent miasta, Friedlein, zaś przed kościołem na Skalce Tadeusz Romanowicz, Maryan Gawalewicz w imieniu prasy warszawskiej, Lucyan Rydel w imieniu młodych poetów, Bandrowski w imieniu szkoły, wreszcie akademik Gryziecki. Na pogrzebie byli pomiędzy innymi marszałek Stanisław hr. Badeni, ks. Adam Sapieha, Andrzej hr. Potocki. Wszystkie kwiaty z karawanu zerwały kobiety na pamiątkę. Domy obwieszane były flagami żałobnymi.

Więńców było przeszło 50.

Cały orszak przybył o godzinie kwadrans na 7-mą na Skalkę, gdzie trumnę wniesiono do grobu zasłużonych. Za trumną wpuszczono do podziemia prócz rodziny tylko radców miejskich i posłów sejmowych.

Zapowiedziane nabożeństwo żałobne za spokój duszy ś. p. Adama Asnyka odbyło się dzisiaj w kościele Maryackim; odprawił je książę biskup ks. Puzyna. Straż honorową pełniła straż ogniowa w uniformie i drużyna Sokółów. Towarzystwo śpiewu „Lutnia“ wykonała bardzo piękny śpiew.

ani połowy tego obszaru nie rozparcelował między kolonistów. Temu się zresztą wcale dziwić nie można, bo, choć w owych »zachętach ku osiedlaniu się na wschodnich kresach« bardzo wiele patryotycznych słówek, zawsze jednak główna rzecz »geszeft« i koloniści płacić muszą za morgę polskiej ziemi przecięciowo 100 talarów, gdy tymczasem patryotyczny bank daje za nią tylko 60 talarów.

To też mało zgłasza się Niemców, na te złote czasy »in der Polakei«, a biedny Landbank suszy sobie głowę, kto mu zwróci wydane talary.

W takich żyjąc warunkach jak my żyjemy, każdy przyjść musi do wniosku, że nie wielką polityką, lecz cichą a uporczywą pracą z ludem i dla ludu możemy się ostać i równowagę utrzymywać wśród zamachów na naszą narodowość. Nie ugodą, która hańbi, lecz statecznością, która zaszczyt imieniu narodowemu przynosi, powinniśmy iść do celu. Kto uważnie obserwuje nasze stosunki, kto widzi jak powoli wycofujemy się zupełnie z zachcianek tak popularnej a niegodnej »ugody«, kto widzi zresztą jak prasa nasza przewodnikiem jest społeczeństwa w tem oczyszczeniu się z wędrówki po zabagnionych przestrzeniach mrzonek — ten nie może się oprzeć przekonaniu, że lada chwila — a spóźnione w tym odwołanie organa prasy naszej uczciwie myśląc dotrzymają kroku społeczeństwu — idąc wreszcie za głosem ludu.

Wychowanka Dziadunia.

(Dokończenie.)

XXX.

W południe karczma nad rzeką zapelniała się góralami; chłopci wracając z »pańskiego« wstępowali po wiadomości.

— Ola Boga! — co za nieszczęście! taki dobry pan! i myśleć, że taki pański syn, taki hrabia sam zeszedł do szybu, aby ciężar wyciągnąć!...

— I to dla Beli, żeby gospodarstwa nie stracił!

— Czy już wiadomo, co za łotr to zbroił?

— He!... kto tam może wiedzieć!...

— i poczęli między sobą szeptać, spoglądając z pod oka na karczmarza, który poziereniał ze strachu.

— No temu nie zazdroścę!...

— Ten cało z tej sprawy nie wyjdzie!...

— Pan go pewnikiem wynajdzie i tegi proces kryminalny mu wytoczy!... Wódki, szynkarzu!

Żyd krzątał się po karczmie, ale tak mu się nogi urzęsły, że kilka razy byłby wszystkie kieliszki potłukł, a pejsy jego wilgotniały z potu śmiertelnego.

— Więc pan Konrad nie umarł? — ktoś zapytał.

— Gdzie tam nie umarł!... — krzyknął zawsze głośno rozprawiający kowal, Stefan Iwonicz. — Chciałbym to widzieć, żeby kto żyw wrócił z tej djabelskiej jamy! Od razu się zadusił!

— Czyście tego pewni, Stefanie?

— Czy jestem pewny?... Abo mozem go nie widział, tak dobrze jak was tu widzę, jak go czterech chłopów niosło? Był bład jak ta chusta; no, cały trup!... Nawet i słyszałem, jak wiertnicy między sobą mówili, co »gas« pewnikiem do wieczora tryśnie, a że on, powiadają, już tego nie dożyje... Jaśnie pani też za nim szła i zawodziła i rączki lamala, co niepodobno...

— Jezus Marya! zmiłuj się nad nami! — i wszystkie niewiasty zaczęły żalić się i lamentować:

— Takie dobre panisko!... i ledwo cztery niedziele po weselu!... Tak rychło mu się też zmarło!... O! Matko miłosierdzia! miej ich w swojej opiece!...

W umyśle żyda nowa myśl zabłysła: jeżeli pan Konrad nie żyje... to nie będzie procesu! Jazowicz, ukryty w komorze, wszystko słyszał i te same myśli trwogą go napelniały.

Drzwi skrzypnęły na nowo i wszedł do izby karczmejnej Hrynko, szewc wiejski, spokojny człowieczyna.

— Niech będzie pochwalony... Szynkarzu, kieliszek gorzałki!

— Na wieki!...

— Co to się przytrafiło?... o jakim nieszczęściu mówicie?

— Albo to nie wiecie?... nasz młody pan umarł — odezwało się kilka głosów.

— Co? młody pan?... ady żyje... dopiero co go widziałem.

Kowal pięścią w stół uderzył: — Co tam gadacie, szewcu, chybaście

pijani?... młody pan nie umarł?... kiedym na własne oczy widział dobrodzieja i kościelnego, jak szli z krzyżem i dzwonkiem do chaty Piotra!... a jak już ksiądz wchodzi jednymi drzwiami, to śmierć za drzwiami stoi!...

Ale kobiety mu przerwały: — Zamknijcie gębę, kowalu, niech Hrynko opowiada co widział.

I otoczyli biednego szewca, który się nieśmiało cofał w najciemniejszy kąt izby, aż go nareszcie zmusiły do mówienia.

— Jeszcze dobrze przed południem, właśnie dzwonili na Anioł Pański, wracałem z młyna, dokąd buty zaniostałem, co mi młynarz kazał dać nową zelówką. Aż tu przechodząc przed gospodarstwem Beli, zarzeczem poznałem, że coś się święci. Podeszłem pomału pod okno i przez szybę widzę jak młody pan Konrad leży na ławie, a chłopci go trą i znowu trą, że umarłyby się obudzili. A jaśnie pani trzymała mu głowę, a ciągiem płakała i zaś go całowała po jagodach... Aż pan się ruzył, zaś odwarł oczy i jakby zaczął się śmiać... A pani także się śmiała, zaś z nowa płakała... i wszyscy razem dziękowali Panu; aż, jak odchodziłem, to go do dworu odprowadzili!...

— To mi dopiero łgarz! — krzyknął kowal z drugiego końca izby. — nie widzicie, że po pijanemu gada?... Umarli u niego powstają i śmieją się!... Chciałbym to widzieć!...

Wrzawa powstała coraz większa; jedni byli po stronie kowala, drudzy za szewcem trzymali. Żyd i adwokat, ukryci

Karmelki napelniane. — Cukry na sposób warszawski. — Czekolady i czekoladki szwajcarskie i paryzkie. Bombonierki paryzkie. — Torty najrozmaitsze.

Przesyłki skutecznie odwrotnie franko do każdej stacji pocztowej.

A. W. ŻUROMSKI, Cukiernia, fabryka cukrów i czekolady.

Poznań (tylko ulica Berlińska Nr. 3.)

Hymn rzewny i wzniosły „Boże coś Polskę“ zakończył nabożeństwo żałobne.

M. B.

Zakopane, 8 sierpnia.

(Oryginalna korespondencya „Pracy“).

W piątek — dnia 6 sierpnia o godzinie 10-tej rano, odbyła się w Zakopanem msza święta za spokój duszy s. p. Adama Asnyka. Nowy kościół przybrany był efektownie festonami z czarnej krepy i zielenią, a olbrzymie okna w głównej nawie, czarnym całunem okryte, dopełniały tej kościelnej żałoby. Specjalnie na tę uroczystość skomponowany „Marsz Żałobny“ przez Noskowskiego (który bawi w Zakopanem) porywał harmonią dźwięków, poważnym nastrojem i subtelnością wykonczenia. Do podniesienia smutnej tej uroczystości, przyczyniła się znana nie tylko w Poznaniu, ale i daleko po za granicami naszego Księstwa, wysoko utalentowana śpiewaczka, panna Minolli (Elżbieta Enger), której koncerta w Dreźnie, Kijowie i Berlinie wywołały jak najpochlebniejszą krytykę — uznanie, na jakie zasłużył sobie tylko p. r. a w d. z. w. y. talent, oparty na wieloletnich studiach w konserwatoryach Drezdeńskim i Berlińskim; a specjalnie kształcenie się p. o. z. a. t. e. m. pod okiem sławnej śpiewaczki Lucci, spotęgowało jeszcze artyzm panny Enger.

Panna Minolli śpiewała „Modlitwę Stradelli“ przy akompaniamencie sędziwego mistrza tonów, pana Noskowskiego, dyrektora konserwatorium warszawskiego, a najlepszym dowodem, że porywał śpiew ten słuchaczy mistrzowskim wykonczeniem, które szczególnie w trylach doszło do perfekcyi oraz znakomitą szkołą wło-

ską — była owacya i podziękowanie wychodzącej z kościoła koncertantce przez znanego profesora konserwatorium wiedeńskiego, — pana Meyera, który w serdecznych słowach uznanie śpiewaczce od wszystkich melomanów będących w kościele — wyraził.

Cieszy nas niewymownie, że możemy tutaj zadokumentować to uznanie weterana sztuki muzycznej, a czynimy to z tym większą przyjemnością, iż panna Enger jest mieszkanką Poznania, a więc może i w swoim rodzinnym mieście pozwoli nam być uczestnikami podobnej biesiady duchowej, którą tak iście po królewsku obdarzają nas od czasu do czasu — zwykłych śmiertelników, nieliczni wybrańcy i wybranki losu, piastując w duszach swych nieśmiertelny ideał — sztuki, dany im przez Boga w głosie a doprowadzony nauką do — artyzmu!

Meloman.

U FAL WISŁY.

Ciągną burze i nawały,
Dziko szumią wiatry,
A z Wawelu orzeł biały
Schronił się gdzieś w Tatry.

I tam uczy swe pisklętą
Przed obliczem Boga:
Co Ojczyzna — wiara święta
I kara dla wroga!

Choć niejedna krwawa blizna
Zwiczrzyła mu pierze,
Pomni jednak co Ojczyzna
I trwa w Ojców Wierze!

Niechaj wróg zastawia sidła
Ująć go nie może,
Polski orzeł rozpiął skrzydła
I wzbil się w przestworze!

I w błękitach gdzieś wysoko
Zawisnął król ptaków
I stęsknione zwrócił oko
Na rodzinny Kraków.

Świtu blaski już zadniały,
Wschodzi nowa gwiazda
Powróć! powróć orle biały
Do swojego gniazda!...

● gazetach.

Rzecz

wyłoszona na wiecu w Bruch w Westfalii
przez **Witolda Leitgebra.**

(Ciąg dalszy.)

W skutek naszej obojętności, język polski nie znajduje należytego uwzględnienia już nawet w kościele. Coraz mniej uwzględnia się nasze potrzeby duchowe, coraz bardziej wypiera język polski nawet z kościoła, od stopni ołtarzy, od konfesyonału, do którego grzesznikowi nawet powinna stać droga otworem. A jak on grzesznik ma się n. p. wypowiadać, jeżeli po niemiecku nie umie, a księży polskich nie znajduje? Bo przecież garść najpotrzebniejszych w życiu codziennem wyrazów nie wystarczy ani w przybliżeniu, żeby niemi określić stan swej duszy, tak u każdego różny, tak zależny od okoliczności, z tylu odcieniami, tak subtelny, że tajniki jej, skutecznie tylko od dzieciństwa, z krwią matki wyssana i ukochana mowa ojczysta

w alkierzu, czuli, że nogi się pod nimi trzęsą.

Od niejakiego czasu „blada Tarasia“ stała we drzwiach izby, przysłuchując się sporowi. Unikano we wsi tej wysokiej, dziwnej niewiasty, posiadającej tyle tajemnic i przywoływano ją dopiero w nagłych przypadkach; ale dziś prześcigali się wszyscy, kto pierwszy do niej przemówi. Nawet żyd spojrział ku niej niespokojnym pytającym okiem.

— Tarasiu, powiedzcie... czy młody pan Konrad umarł? czyli też żyje?... dobra, złota Tarasiu, powiedzcie nam!...

Ona wejrzała na nich pogardliwie; cieszyło ją, że tych samych ludzi którzy nią nieraz pogardzali, ona dziś trzyma w niepewności i szyderczy uśmiech przeszedł po jej twarzy, która co to śmiech nie znała.

— Życie człowieka spoczywa w ręku Boga — odrzekła tajemniczo — lecz Pan ma litośne serce dla tych, którzy mu wiernie służą, a ręka Jego zbrodniarza wszędzie odszuka.

Wojno się odwróciła i poszła dalej drogą, nucąc swą monotonną piosenkę.

W kilka godzin później, Michalinka krzątała się w Małopolskim dworku, przyrządzając stół do wieczery. Na cienkim śnieżnym obrusie, pomiędzy półmiskami, ustawiała przezroczyście czarki pełne fiołków i koszyk z starej porcelany z pierwszemi truskawkami; naparzyła herbatę i jeszcze raz obeszła naokoło stołu, poprawiając to talerz z „skibkami“ razowego chleba, lub

z rzodkiewkami, to dzban maślanki i czarę zsiadłego mleka.

Drzwi salki jadalnej, wychodzące na werendę całą obrośniętą *caprifolium*, były szeroko otwarte i przez nie dochodziły ją wszystkie wonie wiosenne i odgłos wieczornych dzwonów. Zdawało się, że słowiki nigdy tak czarownie nie śpiewały, a i pani domu przybrała od rana świeżości i rumieńców; oczy szczęściem jej świeciły i wyraz błogiego zachwyty osiadł na jej ustach.

Tak była zatopiona w swoich przygotowaniach, iż nie usłyszała jak oboje panowie Mirscy, wracając z szybu, przeszli pod oknami.

— Dobry wieczór pani synowo; wprosiłem się do was na kolację. Konrad mi zrazy z kapustą obiecał; a nie, to was do Wielopola ze sobą zabieram.

Stary szlachcic był widocznie wzruszonym, choć tego nie chciał dać poznać po sobie; aż gdy Micia wybiegła, aby go w rękę pocałować, on podniósł jej śliczną twarzyczkę, a drugą rękę położył na głowie syna.

— Dzielnego masz męża — rzekł na wpół mruklawie, walcząc z wzruszeniem — tylko bacz, by kiedy karku nie skrecił. Za moich czasów — dodał — inne były pola popisu dla odwagi i chwały. Ale cóż? nie wasza w tem wina! Byleście mnie do waszych nowości nie zaprzegli.

— Ojcie, a jednak te „nowości“ gospodarstwo Beli wyratują. Od trzech godzin, jak źródło wytrysło, dało pięć beczek; choćby nadal dawało i połowę...

— Nie chcę nic mieć do czynienia z temi prze..... studniami! Możesz w nich gospodarować jak ci się podoba, byłem ja o niczem nie slysział... Małopole zapiszę na twoje imię..., nie dziękuj: to i tak wszystko będzie twoje. Możesz potem sobie wiercić i świdrować ile chcesz. Tylko mi zaraz żyda z karczmy wyrzucić; możesz ją puścić w dierzawę mojemu starymu kucharzowi, który i tak jest na łaskawym chlebie. Co mnie te darmożjady nie kosztują! Ale żyda już we wsi mieć nie chcę.

Służący oznajmił, że podano do stołu.

Przy wieczery ojciec całkiem się podochocił:

— Na przyszyły tydzień jadę do Lipowej na imieniny pani Zarembiny, żeby jej podziękować za jesienną wizytę; a po powrocie odwiedzę was na kilka dni, bo smutno w domu samemu.

— To ojciec kochany zaraz tu zostań — prosił Konrad, podczas gdy jego żona na wspomnienie macochy pokraśniała jak różyczka. — Mój teść pisał do nas dzisiaj, że jego żona nagle wyjechała na cały miesiąc na Ukrainę, a sam obiecuje przez ten czas nas odwiedzić. Jutro jedziemy do Białej Góry, żeby prosić, aby dziadek wraz z ciotką Malwiną także przyjechali i będzie miał ojciec gotową partyę wista.

— A gdy Halka wróci — szepnęła Micia, kładąc głowę na ramieniu męża, gdy wstali od stołu — otoczmy ją tak czulem przywiązaniem, że będzie musiała nam nasze szczęście przebaczyć!...

uchylić i zajrzeć w nie zdolna. Na szczere, głęboko odczute wyrażenie w konfesyonalnych grzechów, nałogów, wyrzutów, a nawet chęci poprawy, język niemiecki dla ludu naszego jest niedostateczny, tak samo jak słowa kapłana wyrażone po niemiecku nie odmalują w myśli jego ani niegodności, ani karygodności danego postępowania, nie przekonają, nie wzbudzą skruchy, nie dadzą pożytku, moralności ani o krok naprzód nie posuną. Nie będą one ani nauką zbawienną, ani pociągą, ani radą, ani rozumowaniem, nie dadzą otuchy, nie sprowadzą z drogi przewinienia, bo nie utkwia w głowie, a tem mniej w sercu. Kościół naucza, że duchowieństwo powinno wpływać na owieczki pieczy swej powierzone, nie zwracając ich uwagę jedynie na stronę zewnętrzną wiary, na ceremonie, praktyki religijne, ale wnikać w duszę ich całą głębią ducha chrześcijańskiego i chrześcijańskiej miłości, a to dla ludu polskiego, tylko w polskim języku skutecznie można. Wszelka inna metoda, będzie zawsze najwyżej tylko „dobrą chęcią, zamiarem — ale bez rezultatów“.

W obecnym zwłaszcza czasie, gdzie „syrenie śpiewy“ ku socjalizmowi wabią i ciągną, powinnością i świętym obowiązkiem, nie tylko władzy duchownej, ale i prawodawców oraz sfer rządowych jest dbać o religijność zwłaszcza ludu i „maluczkich“, którzy na obczyźnie więcej niż u nas narażeni są na pokusy. Religia ma uszlachetniać, podnosić, uświęcać i kierować człowieka, ma wpływać na jego wolę, z której płyną cnoty i zbrodnie, ale minie się z swem powołaniem, jeżeli nie posiada sprzymierzeńca, jakim jest dźwięk języka ojczystego. Jeżeli rząd uniemożliwia nam pielęgnowanie i rozwój naszej religii, jeżeli prośby nasze o polską pomoc duchowną odrzuca, to tem samym bierze na siebie odpowiedzialność za postępowania swego skutki. Że rząd — nie wchodzę w to czy mniejszy lub większy, ale który bądź co bądź pewien nacisk na tutejszy i sąsiednie konsystorze wywiera — obosiecznym mieczem wojuje, nie potrzeba dowodzić. Ale do tego, ażeby prawidłowo i trzeźwo myśleć, żeby widzieć rzeczy należycie i znać ich właściwą miarę, potrzebny jest pewien spokój, pewien stan nerwów, wolny od gwałtownych pobudzeń, a figury rządowe przeznaczone do czuwania nad żywiołem polskim kwalifikacji tych nie posiadają, albo składają je w ofierze na ołtarzu karyery. Kapłanów polskich ustanowić nie chcą i pozwolą nam ginąć moralnie, a my dotychczas beczynnie i bezczynnie przypatrywaliśmy się, jak fala za falą uderzała w to, co dla człowieka najświętszem. Dzikim ludom w Afryce tłumaczone bywają w ich języku ojczystym prawdy wiary i nauki krajów kultury, bo tylko przez język ojczysty trafić można do serca i umysłu człowieka, dla nas nawet tego prawa znać nie chcą.

Polacy, teraz nadszedł czas, aby udowodnić, że jesteśmy Polakami, że jesteśmy katolikami, że ani wiary ani mowy wydrzeć sobie nie pozwolimy. Wiare i mowę od Boga mamy, żadna złość ludzka ani piekielna nie jest w stanie odczepić nas od nich. Nikomu walki nie wypowiedzieliśmy, ale za prawa nasze walczyć będziemy, gazety będą nam przewodnikiem w tej walce i da Bóg zwyciężymy.

Panowie ministrowie wytykają nam w sejmie i parlamencie niewdzięczność,

bo nie mogą pojąć, że my nie o łaskę, ale o słusność, słusność i jeszcze raz tylko o słusność pukamy. Albo czy słusnością można nazwać, jeżeli dla 3 tysięcznej ludności polskiej tutaj w Bruch, skasowano nabożeństwa polskie, mimo, że one niemieckim nie przeszkadzały, czego dowody czasy aż do niedawna? Mimo, że Polacy stanowią tutaj 4-tą część mieszkańców, mimo, że kościół przeważnie z polskich pieniędzy czerpie swoje dochody, a na nowy kościół głównie polskie datki się złożyły? I czy ten Bóg, na którego chwałę kościół w Bruch myśmy w wielkiej części zbudować pomogli, a w którym nam pieśni polskie śpiewać zakazują, a o słowo Boże w polskim języku głoszone nie dbają, czyżby ten Bóg, powtarzam, nie miał na nas spojrzeć litościwie? Czyżby nam nie miał wymierzyć sprawiedliwości?

Niech wiara wasza nie upada; Ten co chmurom drogi wskazuje, a pioruny w dłoni swej dzierży, On na nas wejrzy okiem miłościwym i zmieni serca lub ukarze tych, którzy opór stawiają naszym słusznym żądaniom polskich nabożeństw*).

*) Na zapadłą w tej sprawie rezolucją i na petycją wysłaną do władzy duchownej, nie nadeszła dotychczas odpowiedź.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Vasco de Gama i droga morska do Indyi.

(Czterechsetny jubileusz.)

Było to 8-go lipca 1497-go roku. Cztery lata temu! Z portu Lizbony wypłynęła eskadra, z trzech złożona okrętów. Wodzem jej był Vasco de Gama. Szlachcicem był, żeglarzem na morzu doświadczonym, dlatego też król portugalski, Emanuel, jego wybrał na wodza wyprawy, która miała opłynąć dookoła Afrykę w poszukiwaniu drogi do Indyi. Do owych bowiem czasów z Indyami utrzymywano nieliczne i mało ożywione stosunki drogą lądową. A cuda opowiadano o owej krainie; wszyscy o niej myśleli. Bartłomiej Diaz szukał do niej drogi i zginął a Prylądka Dobrej Nadziei. Krysztof Kolumb nie trzymał się brzegów, lecz chciał ocean wszerz przepłynąć, aby dostać się do owych Indyi upragnionych. Pierwsze też wyspy, jakie odkrył, nazwał niewłaściwie Indyami, a nazwa ta dotychczas im została.

Zachęcony powodzeniem Kolumba, Vasco śmiało puszczał się w drogę. Odważny to był człowiek. Wzrostu średniego, otyły, o twarzy czerwonej, ogorzalej, łatwo unosił się gniewem, a wówczas wszyscy przed nim uciekali, gdyż stawał się gwałtownym i okrutnym. Na dworze nie wiedziano, co on za jeden; miał tylko sławę człowieka nie umiejącego cofać się przed żadnem niebezpieczeństwem. Nie on był twórcą myśli, aby, trzymając się brzegów Afryki, dopłynąć do Azji i Indyi. Plan taki już był gotów oddawna, on był jego wykonawcą. I wykonał go też doskonale.

Po wielu trudach wyminął zdradliwe skały podwodne u Prylądka Dobrej Nadziei, gdzie dotychczas był kres wszelkich wypraw. A dalej trzymał się brzegów. Po drodze odkrył wybrzeża Sofali, Mozambik, Melindę — i tu już spotkał się z dokładnymi wiadomościami o Indyach, Maurowie bowiem tutejsi utrzymywali stosunki

z tą bogatą krainą. Władca Melindy dał nawet żeglarzowi naszemu sternika, który też powiódł okręty portugalskie do Indyi i zawinął z niemi u brzegów miasta wspianego, zwanego Kalkutą. Panował tu książę Zamorin. Gama wszedł z nim w układy, które ostatecznie skończyły się podbojem całego Malabaru.

W dwa lata od chwili wyjazdu, Vasco powrócił do Lizbony z olbrzymią zdobyczą. Przyjęto go uroczyście, nadano mu szlachectwo i rozmaite przywileje, mianowano admirałem Indyi. — Dla Portugalii bogactwa Indyi stanęły otworem korzystała też z nich i czerpała pełną dłoń. Vasco kilkakrotnie jeszcze odbywał wyprawy do nowo-odkrytych okolic. Za każdym razem pobyt jego zaznaczył się śmiercią kilkudziesięciu krajoców skazanych na stracenie. Siłą Portugalia utrwaliła swe panowanie i siłą zbierała plony, składane od wieków przez pracowitych i inteligentnych mieszkańców Indyi.

Już pod koniec życia swego, w r. 1524-tym Vasco mianowany został wicekrólem Indyi. Udał się na to zaszczytne stanowisko, i na niem dokonał żywota. Zwłoki jego sprowadzono do kraju i pochowano z największymi honorami w Lizbonie. Na jednym z przedmieść stolicy portugalskiej, zwanej Belem, nad brzegiem Tagu wzniesiono piękną wieżę, z napisami, opiewającymi dzieje odkrycia drogi morskiej do Indyi i podbicia tego kraju. Opiewali je też rozmaici poeci, a Camoens poświęcił im najpiękniejszą swą pracę „Luizyadę“. Zwłoki tego poety spoczywają razem ze zwłokami bohaterskiego żeglarza. Dwie to największe ozdoby Portugalii.

Odkrycie, jakiego Vasco de Gama dokonał, miało wielkie znaczenie dla świata całego, ale jakkolwiek zapewniło Portugalii niezmierzone bogactwo, nie przyniosło jej szczęścia. Portugalczycy, karmieni złotem indyjskim, coraz bardziej gnuśnieli i tracili swe znaczenie. Z biegiem lat stracili przeważną część kolonii, z Indyi wyparła ich przemysłna a szukająca zysku Anglia, która dotychczas władała tym krajem bogatym i ciągnie z niego korzyści.

Jubileusz czterechsetnej rocznicy odkrycia drogi do Indyi przeminął w Portugalii, nie pozostawiając głębszego wrażenia. Zniknęła dawna potęga tego kraju, dziś zaledwie ślady po niej pozostały; zniknęła i siła, a lud, który wydawał niegdyś takich ludzi jak Vasco de Gama, dziś dostarcza tylko wątku do operetek. „Wielkości tego świata są przemijające!..“ — powiedział mędrzec i miał słusność najzupełniejszą.



Najnowszy wynalazek na polu telegrafii.

Do czego dojdzie rozum ludzki, postępując wciąż po drodze nowych wynalazków i ulepszeń — trudno przewidzieć. Przed kilkudziesięciu zaledwie laty wynaleźli ludziska sposób porozumiewania się równoczesnego między sobą bez względu na odległość, a już dziś, pomimo ciągłych ulepszeń tego wynalazku, powiadają sobie: to na nic cała telegrafia dzisiejsza!... Bo co mi to za sztuka pociągnąć za drut na jednym końcu, to na drugim się dzwonek odezwie; czy zaś ciągniesz ręką, czy

też prądem elektrycznym — to już niewielka różnica. Wynaleźć coś takiego, żeby na żądanie dzwonek dawał znaki bez pociągania drutu — toby dopiero była sztuka. No, i jak zaczęli myśleć, czyby coś podobnego nie dało się zrobić, tak i wymyślili. A jakże!... Teraz, panie, stawia człowiek maszynkę, obraca ją w tę stronę, z którą chce się porozumieć... stuk, puk, i już rzecz zrobiona. To mi dopiero wynalazek!.., Jaki praktyczny w zastosowaniu!..

Wynalazca telegrafu bez drutu, Włoch Wilhelm Marconi, robi obecnie doświadczenia we Włoszech ze swoim nowym aparatem telegraficznym. Pan Marconi telegrafował między innymi publicznie za pomocą przyrządu swego w porcie Spezzia z okrętu do okrętu, a następnie z gmachu zarządu pocztowego do jednej z wysp. Próby te, jak donoszą pisma włoskie, udały się znakomicie. Wyspa, na której urządzono stację doświadczalną, leży w odległości siedmiu kilometrów od wspomnianego gmachu zarządu pocztowego. Jeżeli więc można telegrafować bez drutu na przestrzeni jednej mili, to prawdopodobnie porozumienie na większych odległościach nie należy do niemożliwości. Wynalazca tego nowego sposobu telegrafowania wyjeżdża niebawem do Anglii, gdzie na zlecenie angielskiej marynarki wojennej dokona całego szeregu prób, głównie między portami Calais i Dover. Następnie miał udać się do Berlina, dokąd zaprosił go cesarz Wilhelm, pragnący osobiście zapoznać się z tym nowym, a mającym tak doniosłe znaczenie, pomysłem. Pan Marconi wypowiada nadzieję, iż aparat jego da się znakomicie ulepszyć. Jeżeli nadzieja ta nie zawiedzie, to do skarbnicy, utworzonej z nowoczesnych zdobyczy wiedzy i nauki przybędzie klejnot wielkiej wartości

Czy klejnot ten i dla swego wynalazcy będzie miał wartość wielką, realną?... Sądzić należy, że tak, chociaż nie zawsze ci, co pod nogi ludzkości rzucali perły wartościowe, sami hojnie bywali wynagradzani.

Mamy więc już telegraf bez drutu. A dalej!... Jeżeli dobrze pójdzie, będziemy wnet mieli kolej żelazną bez szyn i lokomotywy. Nie mówiąc już o ułatwieniu, jakie ten niewynaleziony jeszcze sposób przyniósłby w dziedzinie komunikacji, można jeszcze cieszyć się nadzieją, że zmniejszy się liczba katastrof, wynikających ze spotkania pociągów.

Złoto w Australii.

Dziesięć lat temu z szybkością błyskawicy rozeszła się po świecie wieść, że w Australii, w Coolgardie, odkryto pokłady złota. Nie zaraz jednak wzięto się do wydobywania szlachetnego kruszcza, gdyż nieznosne warunki życia codziennego w owych okolicach mogły od tego przedsięwzięcia odstraszyć najodważniejszych i rzeczywiście też odstraszały. Dopiero w r. 1892 ruch w Coolgardie ożywił się nieco i trwa dotychczas, zwiększając się coraz bardziej. Siła przyciągająca, jaką złoto posiada, zwyciężyła. Dziś w samem Coolgardie przebywa przeszło 20,000 ludzi, a są to sami poszukiwacze żółtego metalu. Coolgardie leży pośrodku olbrzymiego

terytorium złotodajnego, w odległości 589 kilometrów od Perth, miasta, będącego stolicą Australii zachodniej. Jeszcze i teraz, pomimo tylu nakładów, dostać się tam można jedynie koleją; po drodze szerokiej, ale zaniedbanej, bogato wyposażonej w wyboje i sterzące korzenie drzew. Kurzawa straszna, wzbijająca się pod kół w powietrze, również nie uprzyjemniała podróży.

Ubogie oberże z płótna lub blachy cynkowej zapewniają podróżnemu skromne, ale wcale niewygodne, schronienie. Izby nie przewietrzane, duszne, blacha bowiem przepuszcza gorąco, jakie na tę ziemię zsyłają żarem zięjące promienie słońca. A jednak w izbach tych pełno. Ludzie gniotą się tu niby w wagonie kolei podmiejskiej w święto lub w niedzielę... Byłe zdobyć kawałek miejsca.

Na dobytek złego, brak wody strasznie daje się we znaki. W Coolgardie drogi to napój; płacić zań trzeba po 15 centymów za litr. A woda ta, ani czystością, ani świeżością bynajmniej się nie odznacza. Pochodzi ona z jezior słonych, albo z wielkich cystern, napełnianych co pewien czas, dzięki deszczom, peryodycznie tędy przechodzącym podczas wiosny. Wodę z jezior trzeba destylować; napój to mdły, ale ostatecznie najpewniejszy. Deszczówka uważana tu bywa za coś lepszego, a jednak w wodzie tej mieszcza się jednak najrozmaitsze miazmaty, z powietrza zabrane, a pod względem higienicznym nie zapewniające bynajmniej bezpieczeństwa.

Blacha falista, jakiej u nas używa się na markizy do sklepów, oraz płótno, oto główne materiały budowlane w Coorgardie. Blacha przeważa w środku miasta, płótno na przedmieściach. Domki wszędzie parterowe, ulice ogromnie szerokie, tworzą drobne kwatery domostw. Na ulicy cienia ani śladu, słońce wciąż zięje żarem. Jedyne tylko eucalyptus przyjmuje się na gruncie tutejszym, ale drzewo to nie zapewnia chłodu, tak samo jak i blacha. Szerokość ulic jest następstwem obawy pożaru. Ognia, jeżeli się pokaże, nikt tu wodą nie gasi, bo to rzecz za droga; prędzej i taniej ugaszonoby w Bawarii pożar piwem, a na Węgrzech winem, aniżeli w Coolgardie wodą. Gdy więc pożar wybuchnie, ludzie zakładają ręce i patrzą spokojnie, aż cała kwatery — zazwyczaj obszarem nie wielka — doszczętnie się wypali. Za kilka dni i śladu nie będzie po przejściu niszczącego żywiołu. Kilka belek i kilkadziesiąt arkuszy blachy, wszystko to zabija się gwoździakami — za parę godzin nowy dom gotów. Jedyne budynki murowane są tu „hotel Victoria“ i „Coolgardie-Chambers“. Nawet kościoły wzniesiono z blachy — a jest ich pięć: katolicki, anglikański, przybrytanów, baptystów i metodystów.

Żywność w tem obozowisku, naturalnie, bardzo jest droga, a wpływają na to głównie dwie przyczyny: pierwszą jest łatwość zdobycia złota. Kto w ciągu kilku minut może się stać bogaczem, ten nie żałuje wydatku na sprawienie sobie przyjemności. Drugą przyczyną — trudność komunikacji. Koń i wielbłąd są głównymi środkami przewozowymi. Wielbłądy sprowadzono tu z Azji, wraz z przewodnikami z Afganistanu. Pocziwie to stworzenie żyje byle czem, umie zastosować się do każdego klimatu, a pracuje bez zmęczenia, wozi ludzi i towary, zu-

pełnie jak w Arabii. Obok kóz nielicznych są to jedyne zwierzęta domowe, możliwe do utrzymania w Coolgardie, inne nie wyżywiają się tu wcale. A i dla człowieka sprawą wyżywienia się nie jest w tych okolicach łatwą. Konserwy, baranina i chleb, oto główne produkty spożywcze; o jarzynach świeżych niema nawet i mowy — rzecz to na złotodajnych polach Australii wcale nieznaną.

W kraju, gdzie środki komunikacji są tak utrudnione, sport pieszy i cyklowy licznych ma zwolenników. Pieszko też lub na bicyklu udaje się do zajęcia poszukiwacza złota. A znajduje się ten cenny kruszec zazwyczaj przypadkiem, złoto australijskie bowiem nie tworzy pokładów wśród skał i kamieni, ale kryje się w drobnych bryłkach wśród piasku. Dla ludzi niezamożnych okoliczność to pomyślna, gdyż do otrzymania czystego kruszcza nie potrzeba maszyn, ani aparatów — zwykle przepłókiwanie piasku wystarcza. Poszukiwacze zwykle łączą się po trzech lub czterech i rydlami rozkopują ziemię piaskową.

Złoto australijskie strasznie jest kapryśne. Pojawi się w wielkiej ilości, można sądzić, że kilkudziesięciu ludzi będzie tu miało dużo do roboty. Gdzie tam?... cienki pokład piasku złotodajnego przepłócano — a dalej nic. Ludzie kopią z zaciekleścią, nic!... szukają obok, w pobliżu, nic i nic!... praca na marne. To jest właśnie głównym powodem, iż poszukiwanie złota w Australii odbywa się w sposób arcy-pierwotny. Natrafiono na pokład kruszcza w skałach kwarcowych; zazwyczaj bywa źródło obfite, chociaż trudne do wyzyskania. Zawiązało się wnet stowarzyszenie, sprowadzono maszynę... i pokazało się, że złoto w kwarcu australijskim jest tak samo beładnie rozrzucone, jak i w piasku. Niepodobiestwo przecież rozkopać wszystkie skały kwarcowe. Stowarzyszenie zbankrutowało i na długie lata odstraszyło kapitalistów od chęci poszukiwania złota w Australii.

A jednak, gdyby komunikacja była wygodniejszą i gdyby przedewszystkiem zaradczono brakowi wody, to eksploatacja złota, nawet na wielką prowadzoną skalę, mogłaby się opłacić znakomicie, gdyż złoto w gruntach napływowych zwykle obficie się znajduje, aniżeli w kamieniu. Do przepłókiwania piasku używa się tu wody słonej, a i za tę trzeba płacić po dwa franki za hektolitr. Oddzielanie złota drogą suchą jest kosztowne, i tylko przez bogate stowarzyszenie mogłoby być praktykowane.

Znawcy stosunków tamtejszych twierdzą, iż kolej żelazna odrazu zmieniłaby warunki istnienia i rozwoju w puszczach Australii zachodniej. I o wodę możnaby się postarać, boć pod ziemią muszą się znajdować jej źródła. Któż jednak będzie ich szukać? Rząd zapatruje się na tę sprawę obojętnie, a dzisiejsi koloniści nie mają funduszków na tak kosztowne przedsięwzięcie. L. B.

Przedruk wzbroniony.

Śliczny piesek.

HUMORESKA.

Napisał dla „Pracy“ N. B.

Zbigniew W. poznał u wód panią N., młodą piękną wdówkę, pokochał ją i za-

ręczył się z nią. Ukochana jego mieszkała w ładnej villi w okolicy Poznania.

Po powrocie z wód wybrał się Zbigniew po raz pierwszy do niej z wizytą do villi.

Przyszedłszy, dwoni, a widząc, że brama otwarta, wchodzi do ogrodu i skręca na drogę, wiodącą do pałacyku.

Nagle, rzuca się ku niemu olbrzymi pies, i skacze w około niego z oznakami największej radości. Kładzie mu łapy na ramiona, i patrzy czule w oczy...

Zbigniew głaszcze lśniąca sierść doggi, mówiąc przytem:

„Odejdź przyjacielu — spuść łapy — przekłete zwierzę, powala mi całe ubranie!”

I rzeczywiście — łapy olbrzyma zostawiają bardzo widoczne ślady na ramionach i na plecach szczęśliwego narzeczonego. Ubranie jest zmięte i powalane błotem.

„Precz“, woła ciągle Zbigniew, broniąc się od pieszczot doggi, i biegnie coraz prędzej. Nareszcie!

Służąca otwiera mu drzwi.

„Pani N. w domu?”

„Tak! Proszę pana!”

Zbigniew, rozpromieniony, wchodzi do salonu, zawsze w towarzystwie psa, który jednym skokiem jest na kanapie i wygodnie się na niej rozkłada.

„Obrzydliwe zwierzę“, mówi sobie Zbigniew, w duszy, „Złe wychowany! Emilia za wiele mu pozwała!”

Ale po chwili wchodzi piękna Emilia do salonu, i zakochany nie myśli już o dodze.

Pies jednak innego jest zdania, widocznie, chce, aby na niego zwracano uwagę i pragnie brać udział w czulej rozmowie narzeczonych. Zeskakuje z kanapy i kładzie się u nóg Emilii, opierając jedną łapę na jej sukni, drugą zaś na wytwornych lakierkach Zbigniewa.

Pięknej wdowy nie dziwi widocznie ta poufalskość, gładzi lekko głowę doggi i przemawia do niej pieszczotliwie:

„Kochany, śliczny piesek!” Śliczny piesek!

„Śliczny piesek“, powtarza Zbigniew, dodając w duszy: Czy ten przeklęty pies nie odejdzie wnet? Gdybym ja był twoim panem, to złamałbym kij na tobie... Ale dziś... Emilia nie wybaczyłaby mi tego nigdy!”

Narzeczeni rozmawiają z sobą, ale psu wcale się to nie podoba. Podnosi łeb i mruczy gniewnie — chce, aby się nim wyłącznie zajmowano.

„Oh, śliczny, kochany piesek“, szepta pani Emilia.

„Śliczny piesek“, powtarza Zbigniew, pomimo, że drży z gniewu.

„Ten pies jest okropny“, mówi sobie w duszy, a Emilia ma słabość do niego, przechodzącą wszelkie granice!”

Niezdługo otwiera służąca drzwi, i oznajmia, że kolacja na stole.

„Allons, mój panie“, mówi Emilia, idźmy do sali jadalnej. Myślę, że masz dobry apetyt!”

Narzeczeni idą — pies za nimi.

Zaledwie poczuł woń pieczonej pulardy, wysunął się naprzód i biegł szybko...

Potem — jednym skokiem rzuca się do stołu, chwytając pulardę, wyskakując przez okno i znika w krzewach.

Emilia uśmiecha się, spokojna i niewruszona.

„Otóż to małe nieszczęście“, mówi

do przerażonej służącej, „przynies nam zimnej pieczeni...”

„Sapristi“, woła Zbigniew, „to pani tak bardzo lubisz psy?”

„Psy? Ja? Ależ ja ich nienawidzę!”

„Jakto, a ten dogga?...”

„Oh, to zupełnie co innego. Własność pana...”

„Moja własność? Nie mogę nawet patrzeć na malowanego psa! Myślałem, że on do pani należy!”

„I oboje pieściliśmy całą godzinę obcego psa, chcąc sobie nawzajem zrobić przyjemność! Obrzydliwe psisko!”

Powrót.

Gdzie te róże woniejące,
W blaskach czerwcowego słońca lśniące
Djamentami rosy?

Wczesnym rankiem je zrywałem,
I pachnące jej wplatałem
Na ozdobę w włosy.

Nieraz kolce mnie raniły
I boleśnie kaleczyły,

Krew czerwoną ssaly.

Lecz serdeczne jej spojrzenia

Wnet koily me cierpienia

I niedługo trwały.

Dawno to już, dawno temu,

Róże zwiędły po swojemu..

* * *

Gdzie altanka w gąszczu skryta,
Otulona i spowita

Welonem powoi?

W niej na kłęczkach ślubowałem,

Wierną miłość przysięgałem

Drogiej mej dziewoi.

Tam najśodsze życia chwile

U jej nóg spędzałem mile,

Tam w szczęście wierzyłem.

Tam z jej gwiazdek lazurowych,

Tam z jej ustek koralowych

Rozkosz życia piłem.

Nowe czasy, nowe zmiany,

Ani śladu dziś z altany.

* * *

A gdzie ławka mchem porosła,

Co się prawie z ziemią zrosła?

Chwil cudnych pamiątka. —

Tam w ramionach ją tuliłem,

Tam na schadzki przychodziłem

Do tego zakątka.

Tam wzajemność mi wyznała,

Pierwszy pocałunek dała

W chwilę uroczystą.

Tam mnie, w świat gdym szedł, zegnała,

Tam mi wierność ślubowała

Do śmierci, wieczystą...

Burza, panie, ławkę zniosła,

Dzikim zielskiem dziś porosła.

* * *

A gdzie ona ukochana,

W śnie na jawie ubóstwiana,

Czy o mnie pamięta?

Chciałbym okryć całunkami,

Łez zroszone perelkami

Jej modre oczęta.

Kocham ją bez granic, końca,

Ja jak Pers do swego słońca,

Do niej się modliłem.

Jam jej obraz w duszy chował,

Jam myślałmi ją całował,

Marzeniem pieściłem...

To i ta wieść was nie doszła?

Panna dawno za mąż poszła!

Poznań, 12. 8. 97.

Witołd Leitgeber.

Z tygodnia na tydzień.

(Na letniem mieszkaniu).

Pan Michał (spotykając na ulicy swego dawnego przyjaciela pana Filipa).
A, Filipcio, jak się masz kopę lateśmy się nie widzieli, co słyhać?

Pan Filip (chowając ostrożnie lepek od butelki z koniakiem, który mu wygląda z kieszeni). A no nic. A tobie jakże się powodzi?

Pan Michał (chwytając za koniak).
Hola, bratku tego nie chowaj przedemną. Ja teraz trzymam się kawalerskiego zwyczaju: po połowie co twoje to i moje. Jestem sobie, widzisz bratku słomianym wdowcem, żonę wyprawiło się tego, uważasz, na letniem mieszkaniu, więc się chcę pobawić.

Pan Filip. Co mówisz, Michałku? Twoja stara także już na wsi? — A niechże cię uścisnę. W takim razie to idzie po kawalersku. Koniak po połowie i kolacyjkę dobrą każemy sobie zrobić tego —

Pan Michał (ciągnąc go za poły do składu win i delikatesów). Chodź tylko, wybierzemy tu sobie coś. A tak (daje prztyczka po gardle).

(Wchodzą obaj do składu).

Kupiec. Czem mogę służyć szanownym pp. dobrodziejom? Zapewne panie dobrodziki spisały obstaluneczek na karteczce?

Pan Filip. (śmiejąc się grubym głosem)
Panie dobrodziki są na letniem mieszkaniu...

Kupiec. Rozumiem, do usług szanownych panów. Mam stare winko, z tego może (pokazuje markę) — kwiczoły, wyborny pasztecik.

Pan Filip. Dobrze, dobrze zapakuj pan tylko — ale (do ucha kupcowi) żeby o tym rachunku nie dowiedziała się żona moja.

Kupiec. Rozumiem, rozumiem — ależ bynajmniej — nie jest zresztą tak duży — trzydzieści dwie mareczki. (Wychodzą).

Pan Michał (staje nagle na ulicy i zniżając głos, mówi). Uważasz Filipku, jak ma być po kawalersku, to niechże będzie. — Uważasz nudno nam będzie. — Co myślisz pójdziemy jeszcze na kawkę? (mruży filuternie przytem jedno oko).

Pan Filip. Chryste panie, o tem mi nie mów, już ja kawki nie chcę. Zbyt późna godzina. Miałem raz awantur z moją panią dość za tak późne wrócenie do domu. Od tego czasu powiedziałem sobie: nie panie Filipie, basta, jesteś człowiekiem żonatym, a godzina 2-ga — wracaj do domu.

Pan Michał. — No tak widzisz, masz rację, owszem, ale to taką głupią naturę mamy my mężczyźni.

(Przychodzą do Michała do domu i znajdując od jego żony list tej treści: „Pogodę mamy brzydką, mieszkanie wilgotne, Maruś choruje na zęby, mnie pokąsały owady, a nasza Kasia do reszty się rozpuściła. — Przyslij pieniędzy i pudelko proszku perskiego“).

Pan Michał. A niech to wszyscy djabli! Ot patrz tylko: pieniądze i pieniądze! Pchaj jak w dziurawy worek, a sam żyj suchym chlebem i kartoflami.

No ale, że ta nasza Kasia tak, panie, tego — nie spodziewałem się wcale. Była dziewczyna — że to nie przystępuj bez kija! Ot co to może świeże powietrze!

—ski.

KRONIKA.

Co prawda to gwaru u nas w Poznaniu — szczególnie w niedziele — nie braknie. W niedzielę odbywa się kilka wycieczek, zabaw, koncertów, w których nasze towarzystwa i nasze mieszczaństwo żywy bierze udział. Bardzo to wszystko pięknie i ładnie — zabawa i rozrywka są niezbędnie potrzebne, ale pytam się, już po raz wtóry, czy nie zawiele tego dobrego? Policzymy tylko, ile zabaw każde towarzystwo do roku urządzi, ile tam pieniędzy niepotrzebnie się rozjeździe, a poznamy jedno ze źródeł naszej biedy. Co gorsza to młodzież nasza i rzemieślnicza i kupiecka nie umie się bawić skromnie. Są we wszystkich Towarzystwach lekkomyślne żywioty, które pociągają skromniejszych i to, co miało być zabawą — staje się umęczeniem i umysłu i ciała. Bo niechaj mi tego nikt nie mówi, aby noc przehulana przyczyniała się do orzeźwienia i wytechnienia. Są tacy, którzy szukają pewnej chluby w wyrzucaniu pieniędzy na zabawach, zaiste lepiej byłoby, aby ta nasza młodzież rzemieślnicza i kupiecka składała grosze, albo na przyszłość, albo też na naukową podróż. Ale u nas dla wielu zawodowców Poznań się stał światem, a daleko mu do tego.

Nie bierzcie mi za złe tych uwag, ale przyznajcie mi słusność. Nie lepiej to odłożyć do roku kilka set marek i poświęcić je dla zwiedzenia zakładów fabrycznych, lub wielkich zakładów handlowych. Zresztą takie podróże jeszcze mają to dobrego, że młodzież nasza się przekona, jak skromnie gdzieindziej żyją — jak obywają się piwkiem, herbatą — ale, ile tam więcej łożą na książki i na kształcenie się umysłowe. Zarządy Towarzystw powinny wejrzeć w tę sprawę i wykonywać pewną kontrolę przy zabawach i powstrzymać tę niepomierną u nas chęć do zabawy. Boć bawimy się zimą, bo to karnawał, bawimy się latem, bo — lubimy baki zbijać. Istne z nas pasikoniki — a mrówkami być powinniśmy.

Jestem przekonany, że wielu członków przystępuje do Towarzystw, bo one mu dają sposobność do zabawy — inne cele Towarzystwa są wielu członkom mniej ważne, niż zabawy. Gdyby atoli który zarząd zabrał się do powstrzymania tej chęci zabaw, z pewnością straciłby popularność i w roku przyszłym już nie zasiadałby u stołu głównego. To też i ja obawiając się o utratę popularności kończę ten temat i powiadam: „róbcie, co się wam podoba!“

Zeszłej niedzieli powróciły też dzieci wysłane na kolonie wakacyjne. A Żabikowo — nomen-omen, które nigdy jeszcze tyle wesołych „żabek“ nie miało, opustoszało znowu.

Dzieci bardzo dobrze się bawiły pomimo słoty i niepogody i pewno pobyt na wsi wzmoćnił ich nadwątlone zdrowie.

Przyzwoicie odrestaurowany budynek stać będzie pustkami aż do przyszłego lata, bo nie przypuszczam, aby komitet wysłał tam dzieci także na świętomichalskie wakacje. Wysyłka dzieci w czasie jesiennym, w której to porze bywają już noce bardzo chłodne, a często i dni, w którym to czasie wieczory już są

bardzo długie, nie wydaje mi się praktyczną. Bo zachodziłaby obawa, że dzieci się przeziębą, a potem, jak zając żywą gromadkę w czasie długich wieczorów. Z tych pewno względów zadowolony się komitet jednorazową wysyłką — a powinszować mu można, że sprawa tak dobrze się udała. A więc budynki będą puste. — Wiadomo, że odwiedziłem kolonię żabikowską, a oglądając obszerne i jasne pokoje, przyszło mi na myśl, czy nie możnaby ich zużytkować na cele drobnego przemysłu.

Jest tu naprzykład komitet damski, który od dawna przemysliwa nad założeniem zakładu szmuklerskiego. — Komitet atoli nie wie, gdzie ów zakład ulokować. W mieście pomieszczenie jest bardzo drogie, a u komitetu pewno dużo dobrej woli, ale chuda fara. Pytanie więc, czy nie byłoby dobrem oddzierzawić na jesień, zimę i wiosnę lokali od komitetu kolonii feryjnych i założyć małą fabryczkę, funkcjonującą przez trzy ćwiercie roku. Prawda, że byłyby rozmaite trudności, naprzykład co zrobić z fabryczką, gdy dzieci przybędą na wakacje, ale na to jest rada, ponieważ jest tam jeszcze kilka innych budynków niezamieszkałych, które właściciel pewnie odstąpiłby za małą opłatą. Nie moją rzeczą badać, czy szmuklerskie wyroby znalazłyby u nas zbyt i czy wogóle taki zakład opłaciłby się.

Przytoczonym wyżej przykładem zwracam tylko uwagę, że komitet kolonii feryjnych mógłby w jakiś sposób wyzyskać odrestaurowany budynek. Tym sposobem wróciłyby się w części koszty odnowienia, które jak na używalność mieszkania tylko przez cztery tygodnie stosunkowo są znaczne.

Chodzą też wieści, że osoby interesujące się podniesieniem u nas zarobkowości myślą o założeniu szkoły koronarskiej. Wydaje mi się, że i taki zakład — oczywiście mniejszych rozmiarów — znalazłby w Żabikowie dostateczne pomieszczenie. Na to potrzebowałyby przedewszystkiem zezwolenia właściciela, ale wiem, że właściciel stara się o wyzyskanie próżno stojących budynków, pod tym więc względem nie byłoby zbyt trudności.

Być może, że znajdują się jeszcze inne sposoby wyzyskania miejscowości, ale o tem niechaj już komitet radzi.

Co prawda to wszystkie te rzucone pomysły to *gruszki na wierzbie*. Zato nie jest „*gruszką na wierzbie*“ nowa polska kapela, którą stworzyć i dostroić zamierza znany w szerokich kołach muzyk, p. Kaźmirz Dembiński, syn powszechnie cenionego muzyka-kompozytora p. Bolesława Dembińskiego.

Jest wprawdzie już jedna kapela polska, p. Górskiego, ale pan Górski nie może zadowolnić wszystkich żądań, jestem więc przekonany, że kapela p. Kaźmirza Dembińskiego nie mniejsze będzie miała powodzenie, niż dawniejsza p. Górskiego.

Kapela p. Dembińskiego składać się będzie z dwudziestu muzyków — instrumenta p. Dembiński już ma gotowe, a przy znanej energii młodego dyrektora spodziewać się można, że popiśy dorównają wkrótce kapelom wojskowym.

Wiem, że nowa kapela ma już teraz liczne zamówienia; w zimowym półroczu zaś stale będzie grywała w teatrze polskim.

Tym sposobem będziemy przy dwóch kapelach zupełnie niezależnymi od orkiestr

wojskowych, którym nałożono pewne ograniczenie przy występach w polskich kołach. Jestem też przekonany, że szczególnie bale bazarowe korzystać będą z nowej polskiej orkiestry.

Gerwazy.

Rozmaitości.

Hrabia-szewc. Że nie zawsze dobrze być hrabią, a czasem lepiej być szewcem, poucza następująca historia z czasów rewolucji francuskiej.

Niedaleko Vendômes we Francji mieszkał z końcem [zeszłego] wieku hr. Portalis. Miano go za oryginała, bo prowadził życie bardzo skromne, poddanych swych nie uciskał, gdzie mógł, czynił dobrze, a gdy biedak jaki zjawił się u niego, nie odszedł z próżnymi rękami. Ludność w jego rozległych dobrach miała się też dobrze, zato stryjeczny brat jego hr. Stefan, najbliższy spadkobierca, patrzył się na dobroczynność hr. Portalisa krzywym okiem i dążył do tego, aby go wziąć pod kuratelę jako rozrzutnika. Jako główny dowód na to, że kuzyn jego jest niespełna rozumu, przytaczał okoliczność, że hrabia zaprzyjaźnił się z szewcem Jakóbem i słuchając zrazu wesołych jego śpiewek przy kopycie, sam nareszcie wziął się do szewstwa i wraz z Jakóbem całe dni na szyciu butów spędzał.

Oczywiście był to dla hrabiego, zwłaszcza w owych czasach, wielki despekt i byłby niezawodnie za półgłówka był uznany, gdyby nie wybuch rewolucji, który zabieg jego kuzynka powstrzymał.

Hr. Portalis i kuzyn jego byli monarchistami, gdy więc rząd rewolucyjny jął ścigać zwolenników monarchii, dostali się obaj do więzienia. Nastal terrorizm okropny, głowy ścinano jak makówki, obaj więc byli pewni, że skończą pod gilotyną. I tak też w istocie stało się z hr. Stefanem, który chciał majątek hr. Portalisa zagarnąć; rząd rewolucyjny osądził go i pozbawił życia. Tego samego losu oczekiwał w więzieniu i hr. Portalis.

Pewnego poranku otworzyły się drzwi więzienia i wszedł gwardzista narodowy.

— Czy mam iść pod gilotynę? — zapytał hrabia.

— Wcale nie — odrzekł gwardzista.

— Czy mnie pan hrabia nie poznajesz?

— Co widzę? Jakób! — zawołał hrabia przypatrując się bliżej przybyłemu. — Zkądże się tu bierzesz?

— Dowiedziałem się, że pan w więzieniu i chcę pana uratować. Wszak jesteśmy obaj szewcami!

Tu nastąpiło porozumienie co do środków ratunku, a w kilka dni potem stanął hr. Portalis przed sądem rewolucyjnym.

— Obywatelu Portalis — rzekł sędzia — czy uznajesz się winnym zarzucanych ci zbrodni?

— Przedewszystkiem rzekł oskarżony — nie jestem żadnym hrabią, tylko szewcem Rousseau.

Powstało ogólne zdumienie.

— Czegożes tego pierwej nie powiedział?

— Mówiłem, ale nie chciano mnie słuchać.

Czy masz świadków, którzyby twe zeznanie potwierdzili?

Hrabia powołał się na gwardzistę, który wystąpił naprzód i potwierdził jego zeznanie.

— To nie wystarczy — rzekł sędzia — czy nie ma innego dowodu, że jesteś istotnie szewcem?

— Owszem — rzekł hrabia — właśnie przed trzema dniami podzelałem buty dozorczy więzienia.

Przywołany dozorca potwierdził zeznanie obwinionego i pokazał nową, porządnie wykonaną zelówkę.

To wystarczyło sądowi. Hrabia został uwolniony a schroniwszy się za granicę przed terroryzmem rewolucjonistów, zawdzięczał rzemiosłu szewskiemu, że go uratowało od śmierci.

Złote myśli.

»Trochę przymusu« — ogrom korzyści! Niepodobienstwo nawet się ziści: Przy naszej woli przyszłość nie trwożna, Wtedy się mówi: I jest i można!

Łatwiej sto razy poradzić, niż raz jeden pomóc.

Dla człowieka to jest pięknem co kocha, a to świętem w co wierzy.

Praca bez wesołości idzie jak po grudzie.

Wiadomości.

„Prace“

która zapisana jest w cenniku gazet pod rubryką (Abtheilung II. t. poln. Nr. 86) **najwygodniej zamówić na pocztę.**

Przedpłata na **sierpień i wrzesień** wynosi

tylko 67 fen.

Każdy nowo przybyły czytelnik otrzyma na żądanie jeszcze na skłódkę od początku kwietnia w komplecie znajdujące się numera „Pracy“ i to bezpłatnie — lecz li tylko za nadesłaniem odnośnego kwitu pocztowego oraz 30 fenów w znaczkach pocztowych na porto.

Życzliwych nam Czytelników upraszamy o łaskawe poparcie naszego pisma w gronie krewnych, przyjaciół i znajomych, zachęcając ich do licznej przedpłaty w interesie wspólnej sprawy. —

Każdy, kto tylko zażąda, otrzyma bezpłatnie i franko kilka numerów „Pracy“ na okaz, lub też celem rozdania takowych pomiędzy krewnych, przyjaciół i znajomych.

Ks. Szambelan Piotr Wawrzyński w Śremie, zasłużony Patron Spółek pożyczkowych i poseł do sejmiku pruskiego, obchodził w dniu 11 b. m. dwudziestopięcioletnią uroczystość jubileuszową kapłaństwa i działalności obywatelskich.

Do wieńca życzeń jubileuszowych i my dołączamy nasz skromny listek, życząc dostojnemu Kapłanowi-Jubilatowi-Patryocie, Opiekunowi naszych Towarzystw i obrońcy praw naszych w Berlinie, aby jeszcze długie lata mógł za łaską Najwyższego pracować

przy czerstwem zdrowiu tak w winnicy Pańskiej, jak też dla dobra społeczeństwa, Bogu na chwałę, Sobie na pociechę, a społeczeństwu na pożytek.

Jubileusz. Dnia 11 b. m. obchodzili 25 rocznicę kapłaństwa następujący księża: 1) ks. Koziełski z Ptaszkowa, 2) ks. Krygier z Dubina, 3) ks. Mielcarski z Strzelec, 4) ks. Noga z Ostrowa, 5) ks. Pacieszyński z Gniewkowa, 6) ks. Roesler z Kędzierzyna, 7) ks. Schnarbach z Kłocka, 8) ks. Skąpski z Lubusza, 9) ks. Szudarek z Niepartu, 10) ks. prob. Szulc z Lubinia, 11) ks. Wendland z Żerkowa, 12) ks. Winiewski z Ponigrodza, 13) ks. poseł Wawrzyński i 14) ks. Żmizkiński z Michorzewa. Wszystkim tym księżom jubilatam zasyłamy serdeczne życzenia »Ad multos Annos!«

Jobowe wieści pisze »Dziennik Kujawski« — dochodzą nas z powiatu: Ołóż dwóch większych posiadzicieli zamierza majątki swe sprzedać Niemcom. Pertraktacje podobno już w biegu, czy nawet na ukończeniu. Nazwisk nie wymieniamy, nie wiedząc, czy informacje nasze są wiarogodne, nadmieniamy tylko, że jeden z tych majątków ma być położony w pobliżu Kruświcy, drugi w sąsiedztwie Chelmca. Czy Panowie ci koniecznie muszą sprzedać swe majątki — a jeżeli tak, czy nie mogli znaleźć nabywców Polaków lub za pośrednictwem banku rozparcelować ziemi? Nie kurczcie ojczyzny, Panowie!

Folwark Katarzynka pod Toruniem położony, obejmujący 1350 mórg ziemi, z dobremi budynkami gospodarczymi, pięknym i obszernym domem mieszkalnym, kompletnym żywym i martwym inwentarzem i całym tegorocznym zbiorem natychmiast do nabycia za cenę 94 tysięcy marek przy małej wpłacie od toruńskiego Tow. pożyczkowego. »(Gaz. Tor.)«

Cukrownie. Na powiększenie i przebudowanie cukrowni w Chelmży uchwalila rada nadzorcza 1,000,000 marek. — Bilans cukrowni w Tczewie wykazuje 101,463,88 m. czystego dochodu. Akcyonaryusze otrzymują 10 proc. dywidendy. — Akcyonaryusze cukrowni w Pelplinie otrzymają za przeszły rok rachunkowy 7 proc. dywidendy. Na umorzenie długu obrócono 5000 m. Na przyszłą kampanię dostawia 7240 mórg buraków.

Jeżyce. Pan Józef Freudenreich z Plewisk nabył od gospodarza Remleina za 3000 m. parcelę obejmującą 49 arów. — Pan Stanisław Glaser kupił od gospodarza p. Waltra 25 arów za 1200 marek. — Gospodarz p. Gensler sprzedał swą posiadłość przy Wielkiej Berlińskiej ulicy, obejmującą około 8 mórg obszaru, firmie Golschmidt i Kuttner za 60000 m.

Teatr prowincjonalny w Grodzisku: na sali p. Wałde:

W sobotę dn. 14 b. m.: »Popychadło«, sztuka mieszczańsko-obyčajowa w 5-ciu aktach.

W niedzielę (ostatnie przedstawienie): »Dla świętej ziemi«, sztuka ludowa ze śpiewami i tańcami w 4-ech aktach.

Śrem. Na powszechnej wystawie artykułów spożywczych w Wiedniu Baden otrzymał rodak nasz p. Edmund Neumann w Śremie pierwszorzędną nagrodę t. j. złoty medal z koroną za rozmaite nalewki i likwory własnego wyrobu.

Środa. Pan Puchniewicz z Dębicza sprzedał folwark swój nowej Spółce parcelacyjnej w Poznaniu, pod kierunkiem p. Sikorskiego będącej i Spółka posiadłość tę rozparceluje. Cena kupna wynosi 79,100 marek. — Na jarmark na remonty, jaki się tutaj odbył w ostatnim czasie, przyprowadzono 43 konie, z tych zakupiono 10. Za konia płacono od 750—800 m.

Inowrocław. Nowiny pod Inowrocławiem, folwark obejmujący 824 mórg, nabył Szczeciński Bank Hipoteczny na subhaście za 87,000 marek.

Ostrów. Tutejszą aptekę »Pod Orłem« nabył od p. Tarnogrodzkiego aptekarz Schleyer z Katowic za 286,000 marek.

Rogoźno. Własciciel Podewitz z Słomowa pod Rogoźnem sprzedał swą posiadłość za 23,000 marek p. Polaczowi z Owczycy (Seefelde (?) pod Rogoźnem).

Z chełmińskiej niziny. Własciciele nisko położonych gruntów zamierzają odtąd zaniechać siewu jarzyn i sadzić tylko wierzbę koszykarską i bednarską, ponieważ to więcej przynosi zysku, niż pszenica. Nadto sadzą ogórki i kapustę, a do kiszzenia powstały fabryki.

Ruch w Towarzystwach.

Towarzystwo Przemysłowe na św. Łazarzu pod Poznaniem obchodziło dn. 8 b. m. pięcioletnią rocznicę swego założenia.

Z rana o godz. 8 odbyła się w kościele poddominikańskim na intencję Towarzystwa uroczysta msza św. O godz. 11 zgromadzili się członkowie i delegaci w lokalu Towarzystwa p. Polcyna na uroczyste zebranie, na którym między innymi członek p. Oferzyński wygłosił odczyt na temat »O wewnętrznym życiu Towarzystwa«.

Po południu odbyła się zabawa w ogrodzie p. Majchrzyckiego, na której liczna publiczność bawiła się harmonijnie i swobodnie.

Towarzystwu życzymy wszelkiego powodzenia na przyszłość.

Doniesienia literackie.

Nowe, pożyteczne wydawnictwo. Z dniem 1-go sierpnia b. r. zaczął wydawać ks. M. Dziurzyński w Krakowie miesięczne popularno-naukowe czasopismo p. t. **„Teki Rozmaitości“.**

Zeszyt I. tego czasopisma już wyszedł, i zawiera rozprawkę: *Ustrój przyszłego państwa socjalno-demokratycznego i jego wady.* Trzeba przyznać, że rzecz przedstawiona jest jasno, treściwie i przekonująco, a tak popularnie, że każdy zrozumie ją może. Wydawca zawiadamia, że każda broszura miesięczna będzie, co do swej treści, odrębną całością, a na treść składając się będą artykuły popularno-naukowe i historyczne.

Nie potrzebujemy chyba nikogo przekonywać, że wydawnictwo powyższe, owiane duchem szczerze katolickim zasługuje na gorące poparcie, zwłaszcza, że i prenumerata jest niską, bo na cały rok wynosi 5 marek — a do końca bieżącego roku tylko: 2 marki. Adresować trzeba: Ks. M. Dziurzyński w Krakowie, ul. Basztowa l. 4.

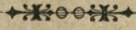
Obrona prawna.

Ważny wyrok kamergerychtu dla kas chorych. Często twierdzą członkowie kas chorych, że w przypadkach, w których wbrew przepisom lekarza wzbraniają się iść do domu chorych, nie tracą całkiem prawa do pieniędzy płaconych im podczas choroby, lecz mają pretensyę do części tychże. Twierdzenie swe opierają na tem, że, jeżeli skutkiem przepisu lekarza idą do domu chorych, nie tylko tamże otrzymują wolne utrzymanie i kuracyę, lecz także dla swych rodzin otrzymać jeszcze mogą pewną część pieniędzy. Kamergerycht uznał twierdzenie to za niezgodne z ustawą i zawyrokoował, że działanie wbrew przepisom lekarza zgodnym z statutami kas chorych na mocy ustępu 3 paragrafu 13 pozbawia

chorych zupełnie prawa żądania wynagrodzenia za czas choroby.

Proces o nieuczciwą konkurencyą toczył się w tych dniach przed sądem ławniczym w Dysseldorfie. Przed kilku miesiącami osiedlił się tam handlarz jaj, który innym handlarzom robił konkurencyą przez to, że towar swój bardzo tanio sprzedawał. Ogłaszał np., że sprzedaje świeże jaja wiejskie, 3 sztuki za 10 fen. Konkurenci zaskarżyli go za nieuczciwą konkurencyą, ponieważ ogłaszane jaja wiejskie były jajami, sprowadzanymi w kistach. Sąd ławniczy skazał go też na 50 marek kary pieniężnej. Wyrok uzasadnił sąd tem: że pod świeżymi jajami wiejskimi rozumieć należy jaja tutejsze, a nie jaja w kistach sprowadzane.

Ważne dla rodziców. Najwyższy sąd niemiecki rozstrzygnął, iż pisma, któremi rodzice i wychowawcy zawiadamiają nauczycieli o przyczynach zmudzenia nauki szkolnej przez ich dzieci, należy uważać za dokumenta. Kto więc w tych pismach podaje fałszywe lub zmyślane tłumaczenie zmudy, dopuszcza się sfałszowania dokumentu, co podlega surowej karze.



Informacje, dotyczące handlu, przemysłu i rolnictwa.

Konkursy.

Otworzono konkurs: 1) nad majątkiem przedsiębiorcy budowl i geometry, p. Pawła Sandera w Poznaniu; zawiadowcą masy konkursowej jest kupiec, p. Jerzy Fritch w Poznaniu; 2) nad majątkiem kupca, p. Władysława Karczyńskiego w Pile; zawiadowcą masy konkursowej jest kupiec, p. Gustaw Dreier w Pile; 3) nad majątkiem kupca, p. Hermana Simonsohna w Trzciance; zawiadowcą masy jest kapitalista, p. Franciszek Kaul w Trzciance; 4) nad majątkiem kupca, p. Górnego w Gnieźnie; zawiadowcą masy konkursowej jest adwokat, p. Wierzbicki; 5) nad majątkiem kupca, p. W. Olszańskiego we Wrześni; zawiadowcą masy konkursowej jest przewodniczący biura, p. Stanisław Smoldlibowski we Wrześni.

Zniesiono konkurs: 1) nad majątkiem fabrykanta obuwia, p. Stanisława Durskiego w Poznaniu (w firmie S. Durski); 2) nad majątkiem mistrza krawieckiego, p. Salomona Kronego w Skwierzynie nad Wartą; 3) nad majątkiem kupca i kuśnierza, p. Eliasza Jacoba w Kępnie; 4) nad majątkiem mistrza kuśnierskiego, p. Abrahama Michała Rectora w Kępnie (w firmie A. M. Rector).

Subhasty.

Obwód rejencyjny poznański.

Nieruchomość włodarza, p. Jana Kuszewskiego z Glinienka (powiat poznański wschodni) położona tamże pod nr. 15 dn. 17 sierpnia w sądzie okręgowym w Poznaniu. — Trzy nieruchomości włościańskie, p. Tomasza Wolnygo z Chwaliszewa pod Sulmierzycami, położone w Chwaliszewie I pod nr. 47 i 63 i w Chwaliszewie II pod nr. 58 dnia 31 sierpnia w sądzie okręgowym w Odolanowie. — Nieruchomość włościanina, p. Jana Jędraszaka ze Stupi położona tamże dnia 2 września w sądzie okręgowym w Kępnie. — Nieruchomość mistrza szewskiego, p. Józefa Lewandowskiego z Kościana, położona tamże pod nr. 207 dn. 20 września w sądzie okręgowym w Kościanie. — Nieruchomość mistrza piekarskiego, p. Cze-

stawa Wojciechowskiego w Nekli, położona tamże pod nr. 25 dn. 21 sierpnia w sądzie okręgowym w Pobiedziskach. — Nieruchomość włościanina, p. Kazimierza Walkowiaka z Księginki, położona tamże pod nr. 12 dn. 1 września w sądzie okręgowym w Śremie.

Obwód rejencyjny bydgoski.

Nieruchomość kowala, p. Walentego Golińskiego z Mogilna, tamże pod nr. 323 położona dn. 23 sierpnia w sądzie okręgowym w Mogilnie. — Nieruchomość kupca, p. Józefa Śmiejkowkiego z Mogilna, tamże pod nr. 70 położona dn. 20 sierpnia w sądzie okręgowym w Mogilnie. — Nieruchomość p. Jana Mrozińskiego z Mąkowska, tamże pod nr. 4 położona dn. 17 września w sądzie okręgowym w Koronowie. — Nieruchomość p. Walentego Kaźmierczaka położona w Inowrocławiu pod nr. 1336 dn. 20 września w sądzie okręgowym w Inowrocławiu.

Zniesienie subhast.

Zniesiono subhastę nieruchomości włościanina, p. Antoniego Jurgi, położoną w Kurowie pod nr. 18 w powiecie kościańskim i subhastę nieruchomości kowala, p. Jakóba Lipińskiego, położoną w Słońsku pod nr. 110 w powiecie inowrocławskim.

Wyłączenie wspólności majątku i dorobku.

Kupiec, p. Karol Józef Przysiecki i żona Teofila Helena Urbańska oboje z Poznania. — Kupiec, p. Kazimirz Weydman i panna Antonina Rychlewska, oboje z Żużna. — Kupiec, p. Feliks Janicki z Strzelna i panna Telesfora Madańkiewicz z Mogilna. — Rządca gospodarzy, p. Franciszek Szarkowski z Iwna i panna Marya Skalska z Kostrzyna. — Mistrz mularski i ciesielski, p. Narcyz Piskorski z Ostrowa i panna Jadwiga Jewasińska z Parlina. — Mistrz krawiecki, p. Julian Hertmanowski i panna Marya Ratajszczak, oboje z Kościana.

Rady i wskazówki.

Czyszczenie odzieży. Zamiast szczotki, która wbija kurz głębiej i wyrwa włos, lepiej czyścić sukno, jedwab i aksamit gąbką umoczoną w wodzie i dobrze wyciśniętą. Gąbkę taką przeciągnąć parę razy po ubraniu wzdłuż włosa, a nie tylko, że zbierze, ale i plamy zmyje.

Jak bielić żółtką bieliznę? Przy ostatnim płukaniu bielizny trzeba nalać jedną lub dwie łyżki oleju terpentynowego do kubka wody i wymieszać dobrze. Terpentyna, ulatniając się, wytwarza ozon, który przywraca bieliźnie pierwotny, biały kolor.

Wystawy.

Na wystawie w Sztokholmie rozwinęli wystawcy wielką pomysłowość artystyczną. Cała produkcja piekarska, mleczarska, metalurgiczna, elektryczna, wszystko to poucza i zachwyca. Cały pawilon poświęcony robocie kapeluszy słomkowych zbudowany jest w postaci kapelusza ze słomy; inny zbudowany z bielizny krochmalnej, kołnierzyków i mankietów, wreszcie inny dla produkcji tytoniowej powierzchnością swoją słaawi tytuń i cygara. Metalurgia szwedzka, słynna na cały świat, olśniewa.

Wystawa szewska. W roku przyszłym urządzona będzie w Petersburgu wszechrosyjska wystawa szewska, z której inicjatywą wystąpiło kilka wielkich firm szewskich i garbarskich w Petersburgu.

Gospodarstwo.

Przeciw zagrzeniu się zboża. Nie brak wypadków, w których z powodu długo trwającej sloty, zboże zwożą do stodoły w stanie niezbyt suchym. Okoliczność ta pociąga za sobą zgnębne bardzo następstwa. Wiadomo bowiem, że wilgotne zboże łatwo się zagrzewa i w końcu podlega pleśni i stęchliznie. Dla zaradzenia tej niedogodności podaje pewien rolnik następujący, bardzo prosty środek, używany w Anglii, a nie pociągający za sobą żadnych kosztów. Bierze się dwa worki napełnione sieżką, plewami lub potrawem, ustawia w stodole w niezbyt dalekich odstępach i układa naokoło nich warstwami, jak zwykle, zboże zwożone z pola. Doszedłszy do wysokości równoległej z końcem worków, podnosi się worki w górę a zboże układa się dalej, powtarzając pociąganie worków, dopóki nie dojdzie się pod dach stodoły. Tym sposobem tworzą się pomiędzy ubitem zbożem dwa kanały dla przewiewu powietrza. Temi kanałami uchodzi para, nagromadzona w wilgotnem zbożu, które pozostaje suche i zdrowe.

Jarzyiny.

Pilnujcie kapusty i innych ogrodowizn. Na polach kapustą zasianych spotkać jeszcze można nie małe ilości gąsienic bielinka kapustnika, co dowodzi, że nie wybierano w właściwym czasie żółtych jajek, albo też zrobiono to nie dosyć starannie. Jeszcze czas, aby zapobiedz zniszczeniu kapusty, jarmużu, kapusty włoskiej i t. p. ogrodowizn. W tym celu należy wdziać stare rękawiczki i wybierać gąsienice, albo też je zaraz zgnieść na liściu. Wśród tej czynności napotkać można niemile zielone gąsienice bielinka rzepnika i grube szare gąsienice sówki; również i te niszczyć trzeba. Tym sposobem można w kilku godzinach oczyścić i ocalić wszystkie pola warzywne; tylko nie należy zwlekać z tą robotą. Najlepiej użyć do tej czynności dzieci.

Sprawozdania handlowe.

Leszno. Sprawozdanie rolnicze z powiatu leszczyńskiego brzmi pomyślnie dla żyta, które zwieziono i daje plon średni, okopowiznom deszcze posłużyły, ale zaszkodziły sprzętom pszenicy i jęczmienia. Pszenicy dużo porosło, a jęczmień poczerniał i do browaru niepokupny. Owies da plon lichey, albowiem długotrwała susza z wiosny nie pozwoliła się rozwinąć roślinie.

Chmiel.

Z południowych Niemiec donoszą, iż stan tamtejszych plantacji chmielu znacznie się poprawił skutkiem częstych deszczów i względnie wysokiej temperatury. W Czechach zaś, pomimo ostatnich deszczów, spustoszenia wyrządzone w plantacjach przez owady, nie dadzą się już powetować. Polepszyły się nieco widoki zbiorów w Burgundyi. Z Anglii otrzymujemy także korzystne wiadomości co do stanu plantacji; spodziewają się tam w r. b. przeciętnego sprzętu.

Stan zasiewów w Kongresówce. Długotrwałe deszcze w gubernii lubelskiej wywarły wpływ fatalny na żyto i pszenicę. Wiele kłosów żyta jest pustych, na pszenicy pojawiła się rdza, prócz tego żyto porosło. Klęska ta dotknęła szczególnie powiaty: lubelski, lubartowski, tomaszowski i janowski. W innych powiatach zbiory będą tylko średnie.

Żniwa na południu Rosyi. Z Odesy donoszą, iż powietrze obecnie jest tam ciepłe i od czasu do czasu padają deszcze. Żniwa już są ukończone, o rezultacie jednak nic pewnego nie można powiedzieć, prawdopodobnie będzie on średni; w wielu miejscowościach otrzymano dużo słomy, a mało ziarna.

Humorystyka.

Przyszła fonografowa prymadonna.

Sześćoletnia Mania.

Mateczko! żem ładna wszyscy mówią o tem. Więc mnie do opery oddać, mam proszę!

Mama.

Ależ to dla ciebie byłoby kłopotem, Bo ty nie masz głosu nawet za trzy grosze.

Sześćoletnia Mania.

A co mi po głosie! tatuś jest bogaty I dla córki groszy nie żaluje przecie, Więc mi sprawi takie różne aparaty Z głosami najpierwszych śpiewaczek na [świecie.

Z myśli pesymisty.

— Dziwne, doprawdy, dziwne! Ludzie właśnie wtedy dostają zębów mądrości, gdy zaczynają myśleć o żeniaczce!...

Skromna.

Pewna panna tak skromna była i wstydliva, (Po czterdziestce zazwyczaj każda bywa taka) że kiedyś przeczytawszy:

„Słońce spać się kładzie“,

Krzyknęła głośno: *Fi donc* i... upiekła raka.

W pewnym klubie.

— Jak myślisz, jakie też są tego Iksa poglądy na obecny stan rzeczy?

— Hm! to zależy od tego, jak mu karta idzie.

* * *

Kłamał stary całe życie,
Lecz miał z tem ambaras;
Przyszedł młody i z łatwością
Przekłamał go zaraz.

* * *

Feministki gwałtem chcą,
By dziś była nowa modła,
Że to nie *on* uwiódł ją,
Ale *ona* go uwiódła.

Jak umiała, tak objaśniła.

Siedmioletnia Stefka. Mateczko, co to znaczy agronom?

Mateczka. To jest, widzisz, moje dziecko, taki rolnik, który *orze i sieje* w pokoju.

*

Dogodzić wszystkim nigdy nikt nie może, Jak tego mamy ślad w dawnych kronikach, Wieśniak więc płacze, że mu zgniło zboże, A pan się cieszy z trawy na trawnikach.

Da capo.

Powiadają, że na całym świecie nie znajdzie nigdzie tak muzycznego miasta, jak Poznań, gdzie z każdą ulicą natychmiast po jej przebrukowaniu, czy asfaltowaniu trzeba zaczynać *da capo*.

KŁAMSTWO.

(Ze scen małżeńskich.)

Przy pieczeniu mąż się pieni I tak żony serce rani:

— Sos czuć mydłem, moja pani!

Na to ona, rozogniona,

Sos powącha — i jak wrzaśnie:

— Kłamstwo... Czuć go mydłem właśnie!

Na ulicy

— Jakże ci się podobają koła po rozwożenia towarów po mieście?

— Tak sobie. Co figiel to grosz.

— No, nie... przecież to pospiech i wygoda...

— Żeby kursowały co niedziela a rozwoziły po domach flaki i piwo, tobym powiedział, że wygoda...

* * *

— Jak się Poznań elektrycznością oświetli. — to będzie śliczne miasteczko...

— Kiedy, kochany przyjacielu, poznańska elektryczność jest szczególna,

— A to dla czego?

— Tak się jakoś powoli wytwarza, że zachodzi obawa, czy nasze wnuki jej doczekają!...

ECHA LETNIE.

(Strofy kąpielowe.)

—

Czas szybko ucieka,
Jakby piesek gończy,
Sezon też wesoly
Kąpieli się skończy
Niechaj się tam skończy
I niech robi drała:
Córka moja męża
Wykadrylowała!

Siedzi kruk na lipie,
I woła: — Filipie!
Subhasta za pasem,
Cóżes zrobić z czasem?
Ścierałeś niebogi,
Po kąpielach nogi,
Wioska odłużona,
Gdzież zaś ciepła żona?

Stroiła się w tiule,
Tańcowała w krepie,
Po badach językiem
Do chłopczyków trzepie.
Chłopcy niedowiarki,
We flirt dziś nie wierzą,
Wdówka sieje rutkę...
Ot, wdaj się z młodzieżą!

?

— Podobał ci się?

— Nie bardzo!

— Cóż to znowu, grymasy? Pamiętaj o tem, że grymasić wolno tylko pannie pełnej, kto zaś, jak ty, waży zaledwie sto piętnaście funtów, ten lepiej zrobi, gdy odłoży fochy na później.

Uspokajające post-scriptum.

Jak się często w świecie zdarza, państwo Janowstwo żyli z sobą, jak pies z kotem. Kto temu był winien? Któż do-ciecze? Dość, że tak było, a państwo Janowstwo mieli opinią stadła niedobranego. W niedobranem tem jednak stadle żyli z sobą już piętnaście lat i mieli nadzieję, że jeszcze najmniej przeżyją lat piętnaście.

Pewnego razu zły humor żony, a co za tem idzie, niezadowolenie męża przybrało większe, niż zwykle rozmiary. Od samego rana horyzont małżeńskiego żywota był zachmurzony. Wiadomo, iż burza nie odrazu wybucha, ale powoli nadchodzi, dając zawczasu znać o sobie. Tak też i tym razem było. Burza małżeńska zapowiadała swoje nadejście groźnemi pomrukami.

Wreszcie przyszła podczas obiadu. Coś tam było niedosolonego, coś przesolonego, dość, że pan Jan głos podniósł, pani Janowa nie pozostała dłużną w odpowiedzi, a rezultatem burzy było, iż pan Jan drzwiami trzasnął i wyniósł się do swego gabinetu, gdzie przespał oznaczoną w codziennym trybie życia godzinę, później zamknął się na klucz, a po pół godzinie wziął kapelusz, laskę i wyszedł bez pożegnania.

Był widocznie mocno zirytowany. Pani Janowa weszła do pokoju męża i spostrzegła list na stole.

Osnowa listu była taka:

„Pani! Jestem znudzony i znudzony życiem, jakie pędzimy. Mam dosyć tych kłótni, scen małżeńskich, gniewów i dąsów. Postanowiłem tedy położyć temu kres. Co zrobię? W tej chwili sam jeszcze nie wiem. To pewna, że niniejszem żegniam cię — na zawsze! Być może, że..... być może, że wyjadę do Ameryki. Bądź zdrowa! Przebaczam Ci i żegnam Twój Jan!!

P. S. W każdym razie nie wrócę do domu przed godziną drugą w nocy.

Niemily zawód.

Gość. O której kochanku, będzie u was obiad?

— Jak tylko pan wyjdzie mama tylko na te czeka...

Z polityki.

— Prezydium parlamentu francuzkiego złożyło wizytę Artonowi w więzieniu, a obecnie wybiera się w odwiedzinę do Korneliusza Herza — do Anglii. Podobno i Arton i Herz są bardzo zmartwieni.

— Z jakiego powodu?

— Że nie będą mogli rewizytować swych gości.

* * *

— Co myślicie o deklaracji profesorów uniwersytetów niemieckich, napisanej z powodu „prześladowania Niemców“ w Austrii.

— Są w zupełnym porządku.

— Jakto? Jako *nauczyciele*?

— Nie ale jako... *uczniowie* Bismarka.

Sprzedaże.

Kilka rzeczywiście pięknych

folwarków,

przy warunkach bardzo przystępnych **tanio do nabycia** a korzystnie położonych z urodzajną ziemią, dobrze odbudowanych i z silnym inwentarzem, sumiennie polecić może i to bez wszelkich kosztów a mianowicie:

1. folwarczek

510 mrg. do połowej pszennej, reszta dobrej żytniej ziemi z pięknymi budynkami i nadzwyczaj silnym inwentarzem, szkoła i szosa w miejscu oraz niedaleko miasta, przy zaliczce 20.000 marek.

2. folwarczek

360 mrg. wszystko buraczana ziemia I Cl., z pałacem o 18 pokojach w cudnym parku, budynki jak forteca, z ślicznym inwentarzem, tuż przy mieście powiatowem z gimnazjum szkołą żeńską, znacznym garnizonem i t. d. przy zaliczce 36.000 marek.

3. folwarczek

300 mg.; wszystko pszena i żytnia ziemia, piękne budynki dostateczny inwentarz, dobre położenie i pewnym widokiem obfitych żniw, przy zaliczce 12.000 marek.

4. folwarczek

250 mrg wszystko buraczana ziemia, dobre budynki tylko milka od znacznej cukrowni, przy zaliczce 10.000 mk.

5. folwarczek

310 mórg żytniej ziemi, budynki niezłe, wystarczający inwentarz i z dobrą uprawą ziemi, przy zaliczce 10.000 mk.

6. folwarczek

370 mórg pysznej ziemi i z bardzo dobrymi budynkami, pięknym, obszernym domem mieszkalnym o kilkunastu pokojach w śród ślicznego parku, przy zaliczce 12.000 marek i t. d. i t. d.

Centralna Agentura dóbr

Drwęski i Langner
w Poznaniu, Rycerska ul. 38.

Gospodarstwo

w **Błotnicy** pod Przementem (stacya kolei leszczyńskozbąszyńskiej) około 250 mórg dobrej ziemi wraz z dośnośnymi łąkami i 20 morgami jeziora, mam zamiar każdego czasu, tak z żywym jak i martwym inwentarzem sprzedać. Cena kupna według ugody.

Balbina Janiszewska,
Błotnica.

Biurko orzech.

w bardzo dobrym stanie, jest zaraz bardzo tanio do sprzedania. Obejrzeć je można na Piekarach nr. 6 I piętro na lewo.

Sztuciec

w **dobrym stanie** jest tanio na sprzedaż. Gdzie? Wskaże Eksp. „Pracy“.

Szukający miejsc.

Gorzelnik

kawaler uczoney **słószar-maszynista**, doskonały w swym zawodzie, **6 lat w obecnej posadzie**, wolny od wojskowości i **kształcony u Delbrücke w Berlinie**, szuka posady od zaraz lub od października r. b. przy skromnych warunkach. — Bliższych szczegółów udzieli bez **wszelkich kosztów**.

Drwęski i Langner
Centralne Biuro Zleceń.
w Poznaniu, Rycerska 38.

Nader uzdolniony agronom

liczący lat 35, żonaty, tylko z małą rodziną, z wyższym wykształceniem, **8 lat w obecnej posadzie** gospodarstwie renomowanem — mogący się powołać na światne rekomendacje pierwszych powag poszukuje posady od zaraz.

Drwęski i Langner
Centralne Biuro Zleceń
w Poznaniu, Rycerska 38.

Wykształc. człowiek,

państw. egz. nauczyciel, biegły w gosp. i kupieck. książkowości i rachunkowości, obeznany z tworzeniem steril. prof. dr. Gärtnera mleka tłustego i steril. mleka niezbiern. w skutek czego litr mleka przynosi 36 fen., szuka od zaraz miejsca jako domowy lub prywatny nauczyciel, albo rendant, książkowy fabryczny lub gospodarczy w większych do- brach rycerskich, a ew. stanowiska celem założenia i prowadzenia zakładu sterylizacyjnego. M. kaucją m. zł. Łaskawe oferty upr. pod lit. I. I. 27 poste-restante

Saarbrücken (Saar).

Wolne posady.

Borowy

żon., w wieku 30 do 40 lat, z dobr. świadectw. potrzebny od 1-go stycznia 1898 do dozoru małego lasu oraz pola na znaczną pensją i deputat.

Drwęski i Langner
Centralne Biuro Zleceń
w Poznaniu, Rycerska ul. 38.

Do mego składu wyrobów mięsnych poszukuję (416)

panny,

córki porządnych rodziców, rzetelnej, umiejacej mówić po polsku i niemiecku.

Franciszek Opieliński
Krotoszyn ul. Kaliska.

BOROWY

żon., w starszym wieku, któryby zarazem podjąć musiał ukopania 900.000 szt. torfu, potrzebny od 1-go stycznia 1898 r. do brab polsk. majątku w Księstwie.

Drwęski i Langner
Centralne Biuro Zleceń
w Poznaniu, Rycerska ul. 38.

Kilku

ekonomów

kaw., potrzebni od zaraz i 1. 10 r. b. na pensją 400—600 marek i wolne utrzymanie.

Drwęski i Langner
Centralne Biuro Zleceń
w Poznaniu, Rycerska ul. 38.

Siedmiu

PISARZY

kawalerów, biegłych w piórze, obeznanych z książkowością potrzeba od 1 października lub zaraz na pensją 300—350 mk.

Drwęski i Langner
Centralne Biuro Zleceń
w Poznaniu, Rycerska ul. 38.

Gorzelnik

żon. z skromnymi pretensjami potrzebny od zaraz do średniej gorzelni w Księstwie.

Drwęski i Langner
Centralne Biuro Zleceń
w Poznaniu, Rycerska ul. 38.

Poszukuje się

pani lub panny

już starszej, doświadczonej do wyręczenia pani we większym domu polskim. Stanowisko stałe, zasługi dobre. Zgłoszenia przyjmuje się sub. A. B. w Ekspedycyi. (411)



Od 1. 10. 97. poszukuje się

osoby samotnej

w starszym wieku do samodzielnego zarządu na wsi.

Warunki: gruntowna znajomość: dobrego gotowania, szycia, prania i prasowania.

Zgłoszenia z podaniem życiorysu, kopii świadectw i swych warunków przyjmuje Ekspedycya „Pracy“ pod lit. S. R. 1897. (415).



Ucznia

do handlu korzeni, win, cygar i destylacji szuka (403)

K. Felicki
w Ujściu (Usch).

Dominium Zalesie potrzebuje od 1 października rb. dobrze poleconych: **kamerdynera kaw. i ogrodnika kaw.**

Przedstawienie się osobiste potrzebne. Kopii świadectw i kosztów podróży nie zwraca się.

Dworzec i poczta w miejsc. **Dominium Zalesie**, obwód regencyjny poznański.

Dominium Lutynia pod Dobrzycą potrzebuje zaraz doskonałego

strzelca.

Tylko dobre świadectwa będą uwzględnione, których odpis należy przesłać.

Strzałowe podług umowy.

Elew gorzelnicy,

Młodzieniec, mający chęć wyuczenia się gorzelnictwa, zgłosić się zechce. — O łaskawe oferty uprasza się do pana **Mettlera**, zarządcy gorzelni w Trzcielinie p. Dopiewo (Zach. pow. Poznański.)

Służący

kaw. znajdzie miejsce zaraz nawsi. Pensya 80 tal. Świadectwa w odpisie **P. Z.** postlagernd **Kazmierz** lub przedstawienie osobiste Poznań w banku przy ulicy Wilhelmskiej nr. 19, I p.

Uczeń

syn porządnych i uczciwych rodziców znajdzie zaraz miejsce w składzie towarów kolonialnych i destylacji.

St. Morawski, Gniezno.

UCZNIA

z dobrem wychowaniem szuka zaraz do handlu towarów kolonialnych i destylacji.

W. Degórski, Wronki.

Adwokat ludowy

Poznań, Kramarska ul. Nr. 5 I pt.

Walenty Nims,

emeryt rządowy — dawniejszy egzaminowany urzędnik sądowy biurowy. (165)

A. Pfitzner

w Poznaniu

Stary Rynek Nr. 6

od roku 1849

Cukiernia

poleca Szanownej Publiczności na porę wiosenną

napój majowy

na świeżej mażance, butelka $\frac{3}{4}$ litra 80 fen.

Limonady, bowle, soki, karmelki owocowe po 1.20 m. funt.

Torty pomarańczowe, ananasowe.

Spodki kruche do ciast owocowych

tuzin 50 fen.

185

2 uczni

przyjmie (410)

Strzelecki

zegarmistrz w Mogilnie, (drugi skład w Inowrocławiu).

Ożenki.

Młoda wdówka,

bezdzienna, Polka, żona po właścicielu znacniejszego gospodarstwa wiejskiego, rodzona w Prusach, milej powierzchowności, obecnie rosyjska poddana, posiadająca prócz wyprawy w gotówce 12 tysięcy rubli srebrnych, pragnie wyjść za mąż.

Zyczeniem jej jest, aby przyszły mąż był przyzwoitym Polakiem i pruskim poddanym, ażeby mogła powrócić w swe rodzinne strony.

Najmilej widzianym byłby reflektant taki, który już jest zagospodarowany w swej własności, a najchętniej taki, który mieszka na wsi lub w małym mieście.

Upraszam w celu zaznajomienia się podać adres swój pod adresem: **A. B. D. 331** poste restante **Łódź** (Russisch-Polen.)

(List tudotąd kosztuje 20 fen.)

Piękny meblowany pokój

od frontu na ożywionej ulicy jest od każdego czasu **tanio do wynajęcia**. Gdzie? Adres poda Eksped. „Pracy“.